

H. Zapolska

Szmat
ZYCIA



SZMAT ŻYCIA

Wiecewsky

Dobromsky

Masilicon du. 15- / 20-20r.

S. 6. 8.

Gabryela Zapolska.

SZMAT ŻYCIA

POWIEŚĆ

Część III.



WARSZAWA.

Druk L. Bogusławskiego, Ś-to Krzyska 11.

Telefon 195-52.



77132/3

K-117/77/67873

CZĘŚĆ TRZECIA.

IX.

- Rozsuń firankę!
- Marya szybko wypełniła rozkaz chorej.
- Ciągłe ciemno?
- Ciemno, cioteczko.
- Jezus, cóż to za noc nieskończona!

Kaszlnęła chrapliwie i chwilę milczała, odychając ciężko.

W kącie komody ustawiona lampka migotała słabo, oblewając niepewnym światłem niewielką przestrzeń pokoju. Całe łóżko, na którym leżała Leontyna, ginęło w cieniu. Tylko urywany, rzęzący głos chorej słyhać było, głos, wydający bezustannie rozkazy zmęczonej i chwiejącej się na nogach Maryi.

Od tygodnia Leontyna konała. Od tygodnia Marya, wśród tych ścian czterech, w jękach przedśmiertnych się plawiąc, wypełniała wszelkie zachcianki starej panny, w której nagle zbudziła się jakaś gorączkowa energia, chęć rozkazywa-

nia, objawienia swej woli, nawet dręczenia drugich...

Nie posłano po lekarza, gdyż Elżbieta zawyrokowała, że „skrzypiące drzewo” długo jeszcze skrzypieć będzie. Elżbieta w bliskość śmierci Leontyny wierzyć nie chciała, odsuwając z trwogą samą myśl o zgonie czyimkolwiek w obrębie domu.

Przez Władysławową dowiadywała się o stanie zdrowia Leontyny.

Władysławowa stawała przed panią swą zawsze z jednym słowem:

— Chudzieńko, jaśnie pan!

Elżbieta ramionami wzruszała.

Cóż u licha? Leontyna jeszcze nigdy tak długo w łóżku nie leżała; za wiele sobie wygódek pozwalała na starość. Próżniakiem była jeszcze od młodości, lecz teraz wręcz jest istotą, postępującą według własnej woli. Niedość, że daje folgę swej leniwej naturze, ale jeszcze zatrzymuje przy sobie Maryę, z którą pani Elżbieta zapragnęła gorąco pojednać się, i to jak najprędzej.

Wszystko szło teraz naopak bez silnych rąk dziewczyny. Elżbieta uczuła, czem Marya była w całym ruchu domowym. Próbowala ją zastąpić, lecz prędko z sił opadła. O wprowadzeniu do domu kogokolwiek obcego marzyć nawet nie chciała. Oprócz kosztów, lęk ją brał straszny przed każdą obcą twarzą.

A nuż to będzie ukryty złodziej lub morderca? Dziś nawet swoim zawierzyć trudno.

Ot, Brunon! Okradła go Kuliczkowa, gdy mu słomę z siennika poruszała.

Zaprowadził pan graf babę do spowiedzi, błagał, prosił, chustkę jej ze łba ściągnął — nic nie pomogło. Baba na klęczkach ręce na krzyż składała, klnąc się, że pieniędzy nie wzięła. Mówiła nawet: niechaj mnie pokręci i różne inne rzeczy.

Pan graf pobladł z rozpaczy. Kuliczkowa do rondli wróciła, a rubli srebrem osiemdziesiąt sześć, za krowy ściągniętych jakieś licho ściągnęło.

Brunon zachorował z rozpaczy i w Zabijaniu już trzy dni leżał, cały zielony, w sine plany. Kuliczek koło niego chodził, znosząc mu całe wiadra rumianku.

Elżbieta rzecz tę wzięła mocno do serca. Obejrzała dobrze rygiel w swym alkierzu i postanowiła kratą wzmocnić ową szybkę we drzwiach, prowadzących do jadalnej. Nawet jeszcze w tym tygodniu miała zająć się tą sprawą.

Tymczasem szło jej głównie o pogodzenie się z Maryą. Dziewczyna nie pojawiła się we dworze, do łóżka konającej ciotki przykuta. Władysławowa przyniosła jej pościel i bielizny trochę dla zmiany. Marya koldrę swą na ziemię, tuż obok łóżka, rzuciła, i czasem do ziemi przypadłszy, drzemiała zgorączkowana i potem oblana.

Cała ta walka życia ze zgonem w tych ciasných ściankach pokoju, cały ten proces gaśnięcia

cia sił i istnienia szarpał wrażliwą duszę dziewczyny na strzępy.

Nie znajdowała się nigdy tak blisko przy łóżku konającego sama jedna wśród długiej, smutnej nocy jesiennej. Chwilami zdejmował ją też lęk straszny i, silnie oczy zamknąwszy, siedziała nieruchoma, nie śmiejąc drgnąć, jakby jakaś niewidzialna potęga żelazną dłonią całą jej postać ku ziemi tłoczyła. A tymczasem w piersiach suchotnicy grał ciągle suchy kaszel, ponurym zgrzytem pluskowi deszczu wtórując.

Na tle kanwowych róż olbrzymich rysował się teraz profil starej panny, wydłużony, straszny, ostry, chmurą smutku i niezadowolenia powleczony. Strzępy siwych włosów spadały jej na czoło, z pod perkalowego czepka się wysuwając. Koszula, ściągnięta na sznurek tuż pod pomarszczoną szyją, osuwała się na piersi wklęsłej, podobnej do zapadłej mogiły stepowej, wiatrem i żarem słońca spalonej. Cienka kołderka osłaniała chorą, leżącą sztywno i bezwładnie.

Chwilę trwało milczenie.

I znów z ciemnego kąta dał się słyszeć chrapliwy głos:

— Odsłoń firankę!...

Marya podniosła się i machinalnie do okna postąpiła.

— Ciemno!...

— Dopiero dziewiąta.

— Jezus Marya! kiedyż ta noc się skończy?

Marya do łóżka powróciła i na krawędzi usiadła.

— Cierpliwości, cioteczko, noc się jeszcze nie zaczęła. Zaśniesz niebawem i spać będziesz do jutra.

Lecz chora rękoma po brzegu kołdry przesuwać zaczęła.

— Nie... spać nie mogę, nie...

Oczy szeroko otwarte w ścianę utkwiała.

— A zresztą, spać się boję, ty wiesz...

Marya zimno w ciele uczuła.

— Boisz się?... Czego? — zapytała, na sobie się siłąc.

Chora milczała chwilę; wreszcie odparła:

— Nie wiem czego...

Za oknem dało się słyszeć przeciągłe wycie psa.

Chora brwi zmarszczyła.

— Pies wyje... komuś na... śmierć...

Marya uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— O! to niema znaczenia. Pamiętasz, ciociu, wtedy, kiedy pan Stanisław menueta grał, „Medor” wyl tak samo... a przecież...

Chorej rozjaśniła się twarz.

— Tak, tak, prawda!... Ale ty, duszo... trzewik przewróć.

Marya schyliła się, i wyciągnąwszy z pod łóżka stary, prunelowy trzewik Leontyny, przewróciła go podeszwą do góry.

Pies ucichł.

— A, ot... przestał—wyszeptwała chora.

— Tak, przestał—powtórzyła Marya, czując pomimowoli jakąś ulgę w tej ciszy.

Przez chwilę znów milczenie zapanowało

pomiędzy niemi i tylko słycać było miarowy odgłos kroków Bukowskiego, chodzącego wzdłuż swej małej izdebki, przedzielonej od pokoju Leontyny maluchnym korytarzykiem. Kroki te widocznie chorą drażniły.

— Niech on chodzić przestanie — wyrzekła.

Marya podniosła się i, cicho drzwi otworzywszy, do sionki się wysunęła.

Wtem nagle potknęła się o Władysławowę, od dworu śpieszącą.

— Jaśnie pani pyta, jak tam?

Marya brwi zmarszczyła.

— Powiedzcie jaśnie pani, że dobrze robi jeżeli sama tu przyjdzie. Niechaj zobaczy, i jutro po księdza pośle.

Władysławowa próg sieni przeskoczyła i w stronę dworu pobiegła. Marya drzwi wchodowe zamykała, gdy nagle spostrzegła, że jakaś ciemna postać z pod okna dworu uciekać zaczęła.

Rozgoryczona była nad wszelki wyraz.

— Niech się dzieje, co chce! od chorej odstąpić nie mogę.

O ciszę w pokoju Bukowskich poprosiwszy, dziewczyna wróciła do Leontyny, która teraz leżała jakby nieprzytomna, z tłumem słów na usta się jej cisnących.

Marya przy łóżku ukląkszy, twarz w dłoniach ukryła, wsłuchując się mimowoli w ten potok słów, rżeniem przedśmiertnym przerywany.

— Bo, po co to wszystko, serce, Elžu-

niu?... — mówiła chora — po co?... też Brunon wolną wolę ma... i miłość wieczną zaprzysiągł... Nędzarka ja?... Ta słuszność masz!... ależ co zrobić z sercem, kiedy już się ozwie! Ha?...

Broda szpiczasta poruszała się nerwowo, bezustannie, oczy, ciągle w ścianę utkwione, nabierały jakiejś szklanej powłoki.

— Zaraz... szwagierka... zaraz... konie zaprządź każę... a ot patarafka skończona... to tobie, braciszku, na imieniny... biedna ja!... nędzarka... ale cóż... też w ogrodzie Brunon czeka... i zaślubić zaprzysiągł... jeno senatorowa... Ach!...

Westchnęła przeciągle.

Marya klęczała z głową pochyloną, wkraczając teraz powoli w ów tak starannie ukrywany dramat serca dogorywającej kobiety, która lat tyle schła i wędła z miłości, nie śmiejąc nawet się upomnieć o to, co było jej przyrzeczone, cała zgnębiona uczuciem, za które nieszczęściem życia płaciła...

— Nie żyje..., nie żyje senatorowa... Brunon pan... własną wolę ma!... Serce, Elżuniu, ty nie drwij... nie drwij przy nim jeno!...

Drzwi skrzypnęły, Marya podniosła głowę.

— Jaśnie pani prosi panienkę na chwilę pod drzwi alkierza!

Marya ramionami wzruszyła.

— Odejść nie mogę!... głowę sama tu tracę... idźcie i powiedzcie pani, niech przyjdzie się z siostrą pożegnać!...

Władysławowa zniknęła, drzwiami trzaskając.

Na łóżku chora poruszyła się niespokojnie.

— Co ci do tego?... siostruniu?... co ci do tego?... gniewasz się... przeszkadzasz?... życie zatruwasz?... och!...

Marya ujęła rękę chorej.

— Uspokój się, ciociu! — prosiła — staraj się zasnąć...

Leontyna rękę z dłoni Maryi wyrwała.

— Puść, puść!... dosyć czekałam!... tyle lat!... ciągle zwodził, ciągle!... dosyć już!...

Starala się podnieść na łóżku, groźna i nagle zbudzona.

— We dwoje mi serce rozdarli... on zwodził... ona drwiła... i nie pozwalała nawet myśleć... o! nie pozwalała! dlaczego? dlaczego?...

Głowę uniosła z poduszek i chwiała się teraz.

Nagle drzwi się otworzyły i na progu ukazała się Elżbieta. Stała chwilę, oczy mrużąc, nie mogąc nic rozróżnić w cieniu, zalegającym pokoik.

— Cóż to znowu za facecya? — zapytała groźnym głosem.

Marya z klęczek powstała.

— Ciszej, ciotko! — wyrzekła rozkazującym głosem.

Elżbieta do łóżka podstąpiła.

— Cóż się dzieje? czy znowu migrena?

Usiłowała być swobodną, lecz już na progu poczuła chłód śmierci, unoszący się w przestrzeni. Od kilku godzin zamknięta w swym alkierzu,

nagłą trwogą zdjęta, siedziała cicho, w wycie psa wsluchana. Przez chwilę zdawało się jej, że ktoś pod oknem alkierza po błocie się ślania i muru czepia. Zwykła jej odwaga opuściła ją, jakaś miękkość, trwoga ogarniały ją, pomimo wysiłków, jakie czyniła. Kto wie?... może Leontyna naprawdę kona? Ta śmierć, której niewidziała, a którą jednak przeczuwała, dreszczem ją przejmowała. Coś dziwnego się z nią działo. Zapra gnęła mieć twarz ludzką obok siebie za jakąkolwiek cenę. Bukowscy o tej porze już spali, Marya czuwała nad chorą, Władysławowa do kuchni się rwała, napracowawszy się dzień cały.

Elżbieta po długiej chwili wahania drzwi od alkierza otworzyła i, zasunawszy je potem, jak najdokładniej i na kłódkę zamknawszy, wraz z Władysławową do oficynki się powlokła.

Teraz, stała przed łóżkiem dziwnie pomieszana, nieumiejąc sobie poprostu zdać sprawy, z tego, co się z nią działo.

— No!... cóż się stało? ha?...

Nad łóżkiem się pochylała, prawie nad twarzą konającej.

— Cóż tam takiego nadzwyczajnego, żeby...

Lecz dokończyć nie mogła, bo nagle kościaste palce Leontyny w rękę jej się wpiły.

— Jesteś tu?... przyszłaś znów?... — zacharczała chora, nie było cię lat tyle w tych ścianach... aż przyszłaś znów?... po co?... po życie?... weź je!... A!...

Elżbieta rękę szarpnęła, lecz palce suchotnicy zacisnęły się kurczowo dokoła jej ciała.

— Wzięłaś życie dawno... ty... kacie...—mówiła teraz syczącym głosem Leontyna, a twarz jej, zwykle tak łagodna, zmieniła się do niepoznania,—życie mi zabrałaś kiedyś nikczemnie przed laty... do szczęścia mi drogę zagroziłaś... Pracowałam dla ciebie, jak mogłam... wynagrodziłaś mnie... jak?... jak?... jak?...

Przez drzwi uchylone widać było pobladałą od wzruszenia twarz Bukowskiego, i słycać ciche szlochanie Bukowskiej o ścianę sionki opartej.

Elżbieta drzeć poczęła; zimne, sztywne palce umierającej wciskały się jej w rękę, jak kleszcze, krew w żyłach ścinając.

— Potworze — charczała chora i świst dziwny w słowa jej się mieszał, — nie kobieta ty... a szatan!... szatan... w rublu rozmiłowany!... Ty się bała sierocie wyprawę dać, ta ślub sprawić... i ot, wołała jej szczęście na proch zetrzeć... taki ty starla...

— Puść!—jęknęła Elżbieta.

Marya, przerażona, od łóżka się cofnęła, patrząc na walkę tych dwóch kobiet, tonących w cieniu, walkę przedśmiertną, straszną.

— Serce!... siostruniu!—krzyczała już prawie teraz chora, na łóżku się prężąc—ty... patrzeć na lzy moje nie chciała!... taki teraz na mnie patrz... i przed oczyma mnie do śmierci miej!...

Elżbieta bladą twarz teraz miała, bladą z trwogi wobec grozy konania i sztywności tych palców, które skórę jej przecinały, jakby żelazne pręty, do czerwoności rozpalone. Próbowwała głos

złagodzić, byle się od tego uścisku śmiertelnego uwolnić.

— Siostro!—zaczęła.

— Nie siostrą ty mi była!... lecz... katem!... katem!—odezwała się znów chora, a głos jej bezdźwięczny, straszny rozległ się, jak głos pękniętego dzwonu;—nie siostrę miałam ja... lecz kamień na lzy moje nieczuły!...

Głosu jej nagle zabrakło, dławić się zaczęła. Marya ze szklanką ślazu do łóżka się zbliżyła.

— I on także! — mówiła dalej chora — on!... powód wynalazł i słowa nie dotrzymał... Ja głupia czekała!...

Zachychotała, krztusząc się znowu.

— Ciociu! napij się ślazu!

Lecz ona szklanemi oczyma patrzyła znów na ścianę.

— Czekala lata całe... pamiątki zbierała... w oknie wyglądała, aż Kulik zajedzie... życie przeszło!... ho! ho!... życie!...

Elżbieta z trwogą na Maryę spojrzała:

— Co jej jest?

Dziewczyna szarpnęła się niecierpliwie.

— Umiera!

Elżbieta rękę swą oswobodzić usiłowała.

— Niech że mnie puści!... Boże!...

Od lat tylu po raz pierwszy chyba to słowo, tak serdecznie na usta jej wybiegło.

Lecz palce Leontyny zesztynniały koło ręki Elżbiety.

Jak tonący chwyta się krzaków nadbrzeż-

nych, tak też konająca uczepiła się tej ręki i puścić jej już siły nie miała.

— Gromnicę zapalić trzeba!—jęknęła z sieni Bukowska.

Marya po gromnicę, zawieszoną nad łóżkiem, sięgnąć chciała, dostać jej wszakże nie mogła.

— Dajcie mi swoją!...—wyrzekła, do Bukowskich się zwracając.

— Z oficyny do dworu... z dworu do oficyny!...—szepiała konająca i tak... całe życie.

Głowę podrzuciła.

— Dzwonek!... o!... jedzie!... on jedzie!...

Mdłe światło gromnicy zabłysło nagle wśród cieniu pokoju.

Marya zbliżyła się do łóżka i palce chorej od ręki Elżbiety odczepić usiłowała.

— Nie puszczę!—jęczała Leontyna—zabrać chcecie pamiątki... Taż ja biedaczka nic nie mam swojego... krom tej neseserki... to zostawcie!... nie szarpcie!... o!...

Marya Elżbiecie w rękę gromnicę wcisnęła. Ona bronila się z trwogą cała oświetlona ponurym płomieniem tej żalobnej pochodni.

— Nie chcę!... nie chcę!... daj mi pokój do dya...

Urwała, oglądając się z lękiem dokoła izby, po której kątach czarne włóczyły się cienie.

— Musisz, ciotko! musisz!... wyrzekła z mocą dziewczyna.

Elżbieta stała teraz, przykuta palcami konającej do tego łoża, na którym rozgrywał się ostatni akt życiowej tragedii i toczyła się walka po-

między śmiercią a życiem. Wrzucona nagle w pełny akt tej tragedii, Szeniewiecka, bez tchu prawie, zdrętwiała z trwogi, czuła, że zimno wpiętych w jej ciało palców konającej, w kości jej poprostu się wciska. Chwilami jej się zdawało, jakby i ona skonać miała...

I teraz, gdy ponury, żółtawy blask gromnicy oświecił pergaminową twarz chorej niezdrowym blaskiem, Elżbieta, nagle w twarz tę spojrzawszy, jakby magnesem do niej przykuta, oderwać już oczu nie mogła.

Nagle usta Leontyny poruszyły się z wysiłkiem.

— Księdza!...—wyszeptała.

Marya ręce załamała i z komody szybko obrazek Jezusa Antokolskiego porwawszy, przed oczy go konającej podsuwać zaczęła.

Lecz ona nie widziała już nic, jakkolwiek oczy wyteżone miała tak mocno, że aż lzy z kącików płynąć zaczęły.

— Księ...dza!...—powtórzyła.

Elżbieta drzeć na całym ciele zaczęła.

Pomimo całego cynizmu, jakim jej dusza była przejęta, głęboka wiara w obrzędy, od dzieciństwa w nią wpajana, zbudziła się nagle pod wpływem tego aktu śmierci, tak przejmująco groźnego.

Nieboszczyk Szeniewiecki umarł w ciągu dnia, nagle, bez gromnic i jęków przedśmiertnych.

Elżbieta uczuła silne wstrząśnienie, gdy

Leontyna zażądała księdza. Wszak od dni trzech Marya przez Władysławową żądała sprowadzenia księdza któregokolwiek z miasteczka. Elżbieta odmawiała ciągle, sądząc, że choroba Leontyny przeminie. Dziś, pół trup ten woła o pomoc duchową, szamocąc się bezsilnie z żelazną ręką śmierci; pomocy tej nie ma! i w ciszy nocnej jedynie głos konającej woła:

— Księdza!

Teraz już sine cienie okrążyły usta umierającej, oczy wpadały coraz głębiej, na twarzy rozlewała się bladość coraz większa.

— Jezu!... — wyjęczała — Jezu... jak ja cierpię!

Oczy Maryi łzami napływały.

— Módl się, ciotko — wyrzekła drżącym, przyciszonym głosem — módl się!... ja ci nic pomódz nie mogę!...

Chora zdawała się słyszeć ten głos łagodny, płynący ku niej wśród cieni.

— Pomódz... nie... mogę! — powtórzyła — nie mogę.

Ręka jej kurczowo coraz mocniej cisnęła rękę Elżbiety.

— Pomódz... nie... mogę!...

Elżbieta mimowoli koło łóżka przyklęła. Zdawało się jej, że palce konającej ku ziemi ją cisną i schylić się każą.

Teraz obie siostry przedzielała tylko gromnica płonąca, z której wąski wydzielał się pasek dymu i pod sufit wznosił.

— Maryo!... ratuj!... — zajęczała chora — Ma...-

ryo. Panno Przczysta!... Tyś nad gwiazdami!... miej mnie w o...

Nie dokończyła, urwała, westchnęła ciężko i nagle krzyk krótki, jeden, wydarł się z jej piersi. Palce, trzymające rękę Elżbiety roztworzyły się, chwilę jeszcze konająca usiłowała unieść się na łóżku i opadła sztywna na posłanie.

Elżbieta, na odgłos krzyku konającej, twarz w pościeli ukryła, drżąc cała, pomimo swych flaneli i watowanych kaftanów i spódnic.

Lecz Marya, powoli od stóp łóżka się odezwawszy, do zmarłej się przysunęła i powieki na oczy opuszczać jej poczęła.

Odwracając się, potrafiła o ciotkę Elżbietę, która siedziała wciąż skurczona przy ziemi, trzymając płonąca gromnicę w dłoni.

— Zgasić ją, ciotko, możesz! — wyrzekła.

Elżbieta zdawała się nie słyszeć. Marya ręką jej ramienia dotknęła.

— Zgaś, ciotko, gromnicę! już niepotrzebna.

Elżbieta spojrzała obłąkanym wzrokiem.

— Co?... lepiej?... zasnęła?...

— Nie żyje! — odparła Marya, gromnicę z ręki Elżbiety wyjmując.

Szeniewiecka w tył się cofnęła, drżącą ręką na łóżko ukazując.

— Trup?...

Marya nie odpowiedziała nic, wpatrzona teraz smutnie w nieruchomą twarz Leontyny, która zdawała się zastygać w jakiejś grozie wielkiej, nieublaganej.

Byłaż to więc śmierć, ta chwila ciężka,

którą już ciocia Leosia przebyła z bolesnym krzykiem, w którym wszakże część tryumfu się mieściła?

Deszcz znów o szyby łopotać począł, a lampka, na rogu komódki płonąca, gasła powoli, coraz więcej cienia w kąty wprowadzając.

Marya poczuła smutek bezbrzeżny, połączony z jakąś wielką pogardą dla własnej nicości. Może za lat kilka, kto wie, za dni kilka i ona zastygać tak będzie bez ruchu, jak nieużyteczna bryła, drogę niepotrzebnie zawałająca...

Z myśli tych zbudził ją nagle cichy głos:

— Podnieś mnie!... proszę cię!...

Drgnęła i obróciła się szybko. Na kłęczkach jeszcze ciągle, ciotka Elżbieta, blada cała i zmieniona, wyciągała ku niej ręce. Marya podeszła i dopomogła podnieść się znękanej kobiecie.

— Idź teraz do siebie, ciotko — wyrzekła, zdjęta nagle litością na widok tej zmienionej twarzy, — ja tu czuwać będę.

Elżbieta oczy przymknęła i stała tak jeszcze z ustami silnie przyciętymi. Zdawało się, że stacza jakąś wielką wewnętrzną walkę z samą sobą.

— Ja... na pogrzeb dam! — wyrzekła wreszcie urywanym głosem.

Chciała w ten sposób okupić swe winy względem trupa.

Marya uśmiechnęła się smutnie.

— Dobrze, ciotko, dobrze!... a teraz idź stąd; sama blada jesteś i chora!

Elżbieta rękę dziewczyny ścisnęła.

— Czy bardzo blada jestem?—spytała, jakby zdjęta nagłą, wewnętrzną trwogą.

— Nie, ciotko... — pocieszała ją dziewczyna—jeno zmęczona jesteś widocznie tą chwilą.

Cała jej uraza, gniew, topniały wobec łoża zmarłej i tej bezsilności, którą czuła w Elżbiecie.

— Pójdę! — wyrzekła wreszcie Elżbieta — pójdę, ale ty, serce, odprowadź mnie, proszę!...

Bukowski we drzwiach stał z głową smutnie na piersi zwieszoną.

— Panie Bukowski!—prosiła Marya—pozostań przy ciele, ja zaraz powrócę!...

Pod rękę Elżbietę ujęła i powoli wyprowadziła ją z oficynki; Szeniewiecka opierała się na rękę dziewczyny, cała drżąca. Pomieszana była, nieprzytomna prawie. Ten widok konającej siostry sprawił na niej piorunujące wrażenie. Widziała się już stygnącą w ten sposób, samą, w alkierzu, bez nikogo w tej ciężkiej, okropnej chwili.

Krzyk przedśmiertny Leontyny miała ciągle w uszach. Zdawało się jej, że nagle coś się w jej piersiach zbudziło i łopoce się teraz, jak ptak na uwieży, sprawiając jej ból dotkliwy.

W ciemniu wilgotnym, oparta na rękę Maryi, szła wolno przez dziedziniec, prowadzona prawie przez dziewczynę, zdając się na jej wolę.



Ciepło płynące z młodego ramienia Maryi ożywiało ją i dodawało jej otuchy.

Zapragnęła mieć to ramię ciągle przy sobie, jakby czując się słabą i do obrony niezdolną.

Wstępowały teraz w milczeniu na schodki. Deszcz z dachu kapał ciąglemi strugami i padał na głowę Maryi, która schylona, zdziwiona trochę postępowaniem ciotki, szła, milcząc, do wnętrza pustego domu, który opuściła, nie mając zamiaru tam powrócić.

W salce jadalnej paliła się blaszana lampka naftowa, z alkierza przez Elżbietę wyniesiona i na stole postawiona.

Elżbieta do stołu się zbliżyła i na krzesło upadła. Marya stała obok niej, nie śmiejąc jej w podobnym stanie opuścić.

Elżbieta milczała długo, zgnębiona i zapatrzona w ciemne kąty sali.

— Umarła! — wyrzekła wreszcie.

— Lepiej dla niej — odparła Marya cichym głosem.

Elżbieta głowę podniosła.

— Toż źle jej tu nie było chyba? co? serce?...

Zdawała się pytać błagalnie, zawieszając głos, wpatrzona w dziewczynę, jakby w groźnego sędziego.

— Owszem, było jej źle bardzo! — odparła Marya.

— Dlaczego, serce?

— Musiałaś jej, ciotko, wyrządzić jakąś krzy-

wdę w młodości. Żaliła się przed śmiercią na ciebie.

Elżbieta ręce do góry podniosła.

— Żaliła się!... Taż złego ja nie chciała dla niej! Ot Brunon do niej cholewki smalił. Ja wysmiała raz i drugi.. a potem, gdy nie pomogło i widziałam, że się po kątach kryją, to i zabroniłam. Oto cała krzywda!

Lecz Marya teraz prosto jej w oczy patrzyła.

— A dlaczego zabroniłaś, ciotko?

— Jakże! nic nie miała! skąd jej było o mężu myśleć?...

— Ona nic nie miała, ale ty miałaś, ciotko, za nią i za siebie. Trzeba było życia jej nie łamać, na taką udrękę nie skazywać, w grób za życia nie kłaść... ale przeciwnie, młodemu sercu do szczęścia dopomódz, za mąż wydać!...

Elżbieta ręką za suknię Maryi schwyciła.

— Cóż robić! już się stało — wyrzekła.

— Źle się stało — rzuciła dziewczyna — źle bardzo. Ciężkie miała życie i ciężkie skonanie.

Elżbieta milczała teraz, czując jakby na ręce swojej bezustanny uścisk sztywniejących palców zmarłej. Ta zmarła, w malej oficynie leżąca wśród cienia, rosła, olbrzymiała i jak widmo straszne napelniała sobą głębię całej sali. Elżbieta uciekła ze śmiertelnej izby, uciekła ona drżąca z trwogi, lecz trup powłókł się za nią, i teraz jeszcze groźniejszy, do oczu się cisnął, zajmując sobą przestrzeń niezmierną, pełen

grozy, skargi i wyrzutu. Skurczona i pokorna postać „Leosi” czerniała teraz, jakby wielki słup, akt oskarżenia na sobie noszący.

Za oknami pies wyć znów zaczął.

Elżbieta drgnęła przerażona.

— Czegóż on wyje jeszcze... — zawołała — czego?

Marya milczała, wpatrzona w żółty płomyk słabo płonącej lampki.

— Taż Leosia już umarła... chyba nad trumną tak zawodzi, co?

W oczy Maryi spoglądała, żebrząc prawie o potwierdzenie.

— Być może! — odparła wreszcie dziewczyna.

Nigdy groza śmierci nie przedstawiła się tak ponuro oczom Elżbiety, jak w tej chwili.

Obejrzała się po ciemnych kątach sali, w których majaczyły niepewne kontury sprzętów, przybierających w cieniu dziwaczne kształty. Dreszcz ją przeszedł, aż wstrząsnęła się cała...

— Śmierć przez mój grób przeskoczyła! — wyrzekła, siłąc się na uśmiech.

Lecz zamiast uśmiechu, twarz jej skrzywiła się boleśnie.

Marya oderwała się wreszcie od niej i ku drzwiom kierować się zaczęła.

— Gdzie idziesz?! — krzyknęła Elżbieta.

— Wracam do zmarłej.

— Po co?

— Czuwać będę przy zwłokach.

— Ach!... tak!... idź więc... albo nie! zaczekaj trochę!...

Nerwowo rękoma poruszając, wiązała i rozwiązywała węzeł chustki, którą miała na głowie. Czula, że z odejściem Maryi niepokój jej wzrośnie.

I nagle przez głowę jej przebiegła myśl, że dziewczyna chce ją opuścić na zawsze, pozostawić samą w tym pustym dworze, na resztę nocy smutnych, niepewnych, czernią swą straszących.

— Czekaj chwilę — wyrzekła szybko — czekaj... serce! Przyrzeknij ty mi, że na chwilę mnie już nie opuścisz, jak tam z nieboszczką skończysz. Przysięgnij, że taki tu pozostaniesz, obok mnie, aż do mojej... śmierci, a ja o tobie pomyślę i los ci zabezpieczę...

Mówiła suchym, urywanym głosem, pełna trwogi przed opuszczeniem w chwili zgonu, a mimo to, pragnąc jeszcze wtłoczyć sobie w gardło przyrzeczenie, które jej bojaźń z ust wyrывała.

Marya uśmiechnęła się smutnie.

— Nie myśl o mnie, ciociu, i losu mi ty nie zabezpieczaj! Nie mam prawa do twych pieniędzy, bo masz spadkobiercę w osobie pana Stanisława! Jeśli mi życia nie będziesz czynić zbyt ciężkiem, to zostanę przy tobie i pilnować cię będę, bo mi ciebie żal!

Głos jej brzmiał smutno i łez był pełen.

— Ja cię wynagrodzę, serce, duszeńko —

podjęła gorączkowo Elżbieta — cóż Stanisław? fidryganc to, więcej nic; nie dam mu nic!

Marya szybko głowę podniosła.

— Dasz mu wszystko, ciociu, bo tak być powinno.

Elżbieta oczy zmrużyła.

— Gorąco ty go bronisz, serce, he?

Marya poruszyła się niecierpliwie. Elżbieta ruch jej dostrzegła i szybko wyciągnęła ku dziewczynie drżącą rękę.

— Taż się nie zachaj! Ja mówię to bez myśli. Jak Brunon... tamtej, tak Stanio tobie w oko wpadł. Widać tak sądzono.

Marya brwi ściągnęła.

— Nie mów o tem, ciotko, w tej chwili przynajmniej. Dziś jeno o zmarłej myśleć powinniśmy, myśleć i Boga o spokój jej prosić.

Ręce Elżbiety zacisnęły się dokoła szyi kurczowo.

— ...Wieczny odpoczynek daj jej, Panie — szepnęła—ale ty, serce, Maryniu, i o mnie także myśl! Skoro już przy mnie zostaniesz, nie pożałujesz, nie pożałujesz!

Nagle jakąś myślą ożywiona, z krzesła się podniosła.

— Nie pożałujesz!—powtórzyła raz jeszcze.

Marya wzruszyła ramionami i, zwróciwszy się od progu, ku ciotce podeszła.

— Nie obiecuj ty mi nic, ciociu — wyrzekła z całą szczerością—nie obiecuj, bo mnie właśnie takimi słowy od siebie wygnasz! Służyłam ci zawsze wiernie, pomimo, że nigdy nie miałaś dla

mnie dobrego słowa—pragnę ci służyć tak nadal. Co się później stanie? Kto wiedzieć o tem może... Kto wie, komu w drogę prędzej, tobie, czy mnie!

Jakby w odpowiedzi, wycie psa przecięło przewlekłym jękiem noc ciemną.

Elżbieta stała nieruchoma, z oczyma w ziemię wlepionymi.

— Lepiej za całą nagrodę — podjęła znów Marya—daj ty mi czasem dobre słowo i pozwól do swego serca znaleźć drogę. Bo serce, to znaczy wiele w życiu! Ciocia Leonia miała go zawiele, dlatego cierpiała; ale nie mieć go wcale, to także cierpienie.

Głos dziewczyny słabnął i nabrzmiwał łzami. Te noce bezsenne, które od dni kilku spędzała przy łożu dogorywającej, cały wreszcie ogrom goryczy i smutku, duszę jej przepelniający, odbierał jej resztę sił i energii.

I nagle łzy polaly się jej strumieniem z oczu. Ukrywszy twarz w dłonie, płakała.

Elżbieta stała przed nią chmurna i dziwnie zmieszana. Od lat tylu nie miała nigdy łzy w oczach, i teraz nawet łzy tej znaleźć nie mogła, choć czuła w gardle nerwowe dławienie.

Zresztą cała jej uwaga pochłonięta była teraz myślą nową, która, w chwili podniecenia twóźnego zrodzona, teraz dojrzewała i nabierała już wyraźnych kształtów.

— Serce Maryniu — wyrzekła wreszcie — ty nie szlochaj... nie mam ja nic wprawdzie, ale to, co mam, będzie twoje... tylko ty już przy mnie

zostań i starych mych lat doglądaj. Jutro ci więcej powiem, aby tylko noc przebyć!

— Dobranoc ci, ciociu! staraj się zasnąć. Ja idę do oficynki. Jutro, skoro świt, trzeba do miasta po trumnę i sprawunki posłać.

Trzask jakiś w kącie sali dał się słyszeć.

— Co to?—szepnęła trwożnie Elżbieta.

— Nic, meble ze starości pękają...

Marya powiodła oczyma dokoła. W ciemnym kącie sali drzemał szpinecik, bieląc się jasnym pudłem wśród cieniu.

Wspomnienie Stania, jak ostrze, przeszło serce dziewczyny. Odegnęła je prędko i dopomogła Elżbiecie do otworzenia alkierza.

— Do jutra, ciociu!—wyrzekła, po raz pierwszy dłużej się w twarz ciotki wpatrując—do jutra... śpij spokojnie!

Z obsłon brudnej flaneli twarz Elżbiety, oświetlona od spodu żółtym blaskiem lampy, blada była, z oczyma przygasłymi, znękana i zmieniona do niepoznania.

— Do jutra!—powtórzyła Elżbieta i, w głąb alkierza się cofnąwszy, drzwi ryglować zaczęła.

Marya przebyła po ciemku salę, wyciągając przed siebie ręce, potykając się o sprzęty.

Już przy progu usłyszała ponownie suchy trzask, znów się rozlegający, jak przed chwilą.

Trzask ten wstrząsnął nią całą. Dlaczego? nie umiała sobie wytłómaczyć. Chwilę jednak stała jeszcze, wpatrzona w mały kwadracik jasny, w drzwiach alkierza wycięty. Po za tą szybką

majaczyła postać Elżbiety, rozlewając się w wielką ciemną plamę.

Ciotka chodziła po alkierzu, przewracając jakieś sprzęty po kątach. Wreszcie, usiadła widocznie, bo kroki ucichły.

Wówczas Marya, cicho drzwi do sieni otworzywszy, z sali się wysunęła.

Od trzech godzin Marya czuwała teraz przy ciele zmarłej, które przy pomocy Bukowskiego ułożyła na czystej pościeli i okryła białem, pocerowanem prześcieradłem.

Stara panna zdawała się spać na swej dziewiczej pościeli, wyciągnięta sztywno, z ustami zacisniętymi i podwiązana chusteczką farbowaną w szafranie. Z obsłony tej żółtej wystawał profil ostry, o szarych cieniach, z wachlarzem rzęs opuszczających się na pociętą zmarszczkami skórę policzków. Kontury ciała gubiły się pod białą prześcieradła; jedynie stopy obciągały płótno, podniesione na sztywnych już palcach.

Dwie świece paliły się na stoliku obok łóżka. Pomiędzy nimi, na krzyżu rozpięty, Chrystus podniósł ku górze smutną twarz, z żółtego wyrzeźbioną drzewa.

Odrobina wody święconej na spodeczku, kropidelko z wiórów, niegdyś ręką Bukowskiego na Wielkanoc zlatane, leżało rzucone u stóp krucyfiks.

Dokoła panowała wielka, martwa cisza.

Bukowscy, znużeni, zasnęli w ubraniu, upro-

siwszy u Maryi przyrzeczenie obudzenia ich nad ranem dla zmienienia jej przy zmarłej.

Dziewczyna usiadła na foteliku w nogach łóżka i, oparłszy znużoną głowę na rękę, w twarz nieboszczki się wpatrzyła.

Powoli nieruchomość zmarłej zdawała się udzielać i żyjącej. Z oczyma, utkwionemi w ostre rysy, występujące w mdłym blasku świec, Marya przybrała maskę istoty, pozbawionej życia i, czując w tej nieruchomości ulgę jakąś wielką, siedziała tak, jakby z kamienia wykuta.

Przestała teraz myśleć i czuć cokolwiek.

Ciotka Elżbieta, Stanio, to wszystko, co tak silnie szarpało jej serce, znikło teraz z przed jej oczu. Pławiła się w jakiejś bezwładności, w pustce, którą czuła pod czaszką i mimowoli chłonęła w siebie bezwładność i nieruchomość tego ciała, którego nogi stężałe i jak lód zimne, prawie czuła u kolan swoich.

Woń lewandy i piżma, dobywająca się z pościeli i otwartej szufladki komody, zlewała się ze swędem świec woskowych. Jakaś atmosfera kaplicy grobowej, w której więdną kwiaty i topią się strumienie wosku, przepelniała izdebkę. Całe życie nieboszczki, cała cicha tragedia tłumionych żądz, pragnień, przeczuć i uniesień, zdawały się teraz zamierać wśród tej ciszy nocy pośmiertnej, jedno po drugim, jak kwiaty w alkowie kobiecej.

W ciszy, jaka zawisła nad zmarłą, drżały tylko lekko płomienie świec, jakby pod wpływem tchnień jakichś tajemniczych.

.

Wreszcie Marya oderwała swój wzrok od twarzy trupa i całą siłą woli przywołała się do rzeczywistości.

Świece dopalone do połowy, opuszczały długie czarne knoty z płomieniejącą na końcach iskierką.

Marya powstała i chwilę szukała nożyczek lub szczypców dla poprawienia świec.

Zimno jej było, siedziała teraz cała przeziębła nawskroś w swej lekkiej sukience.

Powoli zbliżyła się do okna. Ciemno było na dworze zupełnie. Jedynie tylko jasny punkcik migotał w przestrzeni. Było to okienko alkierza Elżbiety.

Marya stanęła, w punkcik ten wpatrzona.

Ciotka jeszcze nie śpi? Widocznie trwoga, sąsiedztwo zmarłej, wreszcie to wielkie zdenerwowanie, jakie objawiała w chwili rozstania, spać jej nie dozwala.

W sercu Maryi zbudziło się silne uczucie litości. Przypomniała sobie wybladłą twarz Elżbiety, w świetle lampki na progu alkierza.

— Pójdę, zobaczę, co się z nią dzieje!—wyrzekła—pół głosem.

Słowa te przerwały ciszę panującą dokoła.

Chwilę Marya stała przelękniona. Nie poznała własnego głosu. Zdawało się jej, że to przemówił ktoś obcy po za jej plecami.

Szybko jednak wróciła do równowagi. Cicho wysunęła się z izdeбки, aby nie zbudzić Bukowskich, przejęta teraz wielką litością dla wszystkiego, co słabe i wiekiem zgnębione.

— Niech śpią spokojnie! — pomyślała, na dziedziniec się wysuwając.

Spojrzała na dwór, okienko świeciło ciągle żółtawą plamą.

Nagle zdjęła ją wielka trwoga; coś się targnęło w jej wnętrzu i dreszczem od stóp do karku przeszło. Lecz zarazem zbudziła się w niej siła jakaś nadludzka, porwała się z miejsca i pędem do dworu biedz poczęła.

Potknęła się o coś. Pochyliła się szybko i poczęła szukać w ciemności ręką. Dłoń jej napotkała kudłate ciało zwierzęcia.

Medor, pies podwórzowy, leżał martwy.

Marya popchnęła psa i, jak szalona, wpadła teraz na ganek, straszny rwana niepokojem.

Drzwi od sali zastała otwarte. Jednym skokiem znalazła się w środku sali.

Drzwi alkierza, lekko uchylone, żółtą do sali wpuszczały. strugę.

— Ciotko!—krzyknęła dziewczyna.

Lecz już silne jakieś ręce na ziemię ją powaliły.

Padając uderzyła głową o kant stołu. Ból straszny wstrząsnął jej czaszką, lecz ona, z nadludzką niemal siłą szamotała się z czarną postacią, nad nią pochyloną.

Jakieś ręce, nielitościwie silne, brutalne, dławiły ją i kulkami piersi jej tłoczyły. Ona szarpała się, głową o ziemię bijąc, całą siłą pragnąc się dostać do alkierza, z którego smuga światła wciąż biła, niczem nie zmacona.

Teraz jednak druga już postać po nad nią

stała, biała cała, w płótnie obszarpanem, z którego błoto na jej twarz ściekało.

— Szlug!—syknął znów ktoś w cieniu.

Ona na kolana się podniosła i ku drzwiom rzuciła.

— Ciotko!

Obie postacie do niej znów przypadły i na ziemię obaliły.

W jasnej strudze światła Marya ujrzała schyloną nad nią twarz Orchima.

Jakieś czarne ciężkie ciało nogi jej przyniotło, chłop gorącym oddechem twarz dziewczyny owionął.

— Szlug!

Marya, ostatka sił dobywszy, z charczeniem dzikiem w ramię chłopca wpila się zębami.

— Suko!—wrzasnął pijak.

Zimny połysk żelaza mignął przed oczyma dziewczyny, z boku ujrzała nagle twarz Jankła, poznała go, chciała krzyknąć, lecz już ostry, gorący ból pierś jej lewą przeszył...

Krzyk skończył w jej piersi, ciepła krew suknię jej zwilżyła, chwilę jeszcze usiłowała podnieść się, spojrzeć i upadła na podłogę bez życia, wśród jasnej strugi żółtawego światła i schylonych nad nią morderców.

X.

Cicho próg dziecinnego pokoju przestąpiwszy, Marya przy kołysce Jezusia uklękła.

Spał on pod pikową kołderką, obie piąstki do buzi przyłożywszy. Rumiany, zdrów, doskonale odżywiony, oddychał lekko, pociągając troszkę noskiem. Do poduszki przylepiony kawałek owsianego cukru szklil się w świetle lekko przyćmionej lampy.

Marya rękę wyciągnęła i, odczepiwszy cukier od koronki, odwróciła się ku bonie z wyrzutem.

— Dlaczego panna Józefa pozwala dziecku brać do kołyski łakocie... upominałam tyle razy.

Od komody, na której poskładane stopy dziecinnej bielizny bielily się w półcieniu, odezwała się wysoka, silnie rozrosła dziewczyna.

— Jerzus tak płakał... dałam mu cukierek!

W głosie sługi była jakaś hardość, to „coś”, co odbijało w tonie służby, czującej niepewny grunt pod stopami pani.

— Proszę, aby drugi raz to się nie zdarzyło.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, odwróciła się do komody i pilnie maluchne, prążkowane skarpetki zwiąć i sortować zaczęła.

Marya powiodła wzrokiem dokoła pokoju, w którym wzorowa panowała czystość; sprzęty niskie, miękkie, rozkładały się po pod ścianami, okrytymi, gładką dębową boazeryą. Maluchny stolik, dwa foteliki, tuliły się w kąciku. Wielki koń na biegunach, siwy, z ogonem wyrwanym i uszami odgryzionymi majaczył w świetle lampy.

Spokój panował tu zupełny. Z po za zasłon białych, w prostych spadających fałdach, okna zdawały się drzemać w cieniu ulicznym. W tem zacisznem dziecięcym schronieniu stworzył się świat odrębny, obwiedziony, odcięty grubym od światła murem.

Teraz Marya powstała powoli i, pochylona nad kołyską, poprawiała jeszcze fałdy satinety i muślinu, spływające z wielkiego węzła wstążki, zawieszzonej wysoko po nad kołyską, na pozłacanym i zagiętym drągu.

Białe i gładkie palce przesuwaly się z pewną miękkością wzdłuż lekkiej tkaniny; chwilę jeszcze młoda kobieta zatopila wzrok swój w twarzyczce dziecka i, poprawiwszy dokoła wygiętego w rozkosznem skróceniu grzbietu kołderkę, wysunęła się z pokoju.

Za nią Józefa powiodła dziwnym wzrokiem, w którym zuchwałość i ironia się mieściła.

Cicho stąpając po dywanach, które położone na rohożkach kroki jej tłumily, minęła Marya swą sypialnię, w półcieniu pograżoną, i weszła

do jadalni, w której pałąca się jasno lampa oblała ją ostrem światłem.

Koło rzeźbionego kredensu w toczone kolumny, w stylu baroko, uwijał się lokaj ciemno ubrany, correct, ogolony, mający doskonale cechy wytresowanego służbisty.

Cicho, bez hałasu, na środkowym stole zastawiał delikatne białe filiżanki o złożonych brzegach, na których leżały cienko pokrajane sandwiche i tartinki. Małe solniczki, garnuszczyki na śmietankę, srebrne, kunsztownie odrobione, stały na kredensie, obok petits-fours'ów, ułożonych w piramidę na srebrnym koszyczku.

Dokoła ścian, ciemną tapetą, imitującą skórę, pokrytych, biegły rzeźbione półki, pozostawiane delikatnymi porcelanami i kryształami. Pod półkami wąskie kanapki, skórą obite, jak węże wily się wzdłuż ścian.

Nad jedną z nich, w miejscu, gdzie półek brakowało, zwieszał się wyblakły gobelin, kładąc szarawą plamę na ciemne tło obicia. W surowem świetle lampy, Juno, siedząca w obłokach, owiana czerwoną draperyą, rysowała się dokładnie, przecięta szafirową fałdą płaszczka Merkurego, który z gracyą Lekain'a ręce swe ku chmurnej bogini podnosił.

Marya do stołu się zbliżyła i, rzucając wzrokiem po zastawie, spytała:

— Pan już powrócił?

Lokaj, przysuwający właśnie wysokie, skórą tłoczoną obite krzesła dokoła stołu, wyprostował się, jak struna.

— Nie, jaśnie pani — odparł układnym głosem.

Po twarzy Maryi przesunął cień.

— Nie podawaj herbaty; zaczekamy na pana...

Lokajowi zadrgały niewidocznie prawie kąciki ust ironicznym śmiechem.

— Słucham, jaśnie pani!

Marya, z nerwowością, właściwą kobietom zwyciężonym, uśmiech ten przeczuła.

— Albo... podaj — wyrzekła szybko, brwi marszcząc — pan dziś tak prędko nie wróci. Zapomniałam o tem.

Miała w tej chwili w sobie pomieszanie szlachetne, jakąś chęć ukrycia własnej niedoli przed brutalnem okiem sługi.

Karol wyszedł z pokoju, jak cień, ukończywszy zastawę stołu.

Dwie filiżanki, dwa nakrycia zajmowały białą przestrzeń obrusa.

Marya odsunęła krzesło i usiadła obok małego stoliczka, obwiedzionego galeryjką, na którym przygotowano czajnik i puszkę kryształową, wypełnioną herbatą. Naprzeciw miała gobelin, z którego Junona wybladłemi oczyma w przestrzeń patrzeć się smutnie zdawała.

Marya powoli zapadła w zadumę.

Teraz lampa, zawieszona na łańcuchach, oświecała ją jaskrawo, jakkolwiek od spodu biały glob światłość tę przyćmiewał.

Młoda kobieta zmieniła się bardzo. Urosła, wypełniała, rozwinęła się. Ramiona jej nabrały

pewnych zaokrąglonych linii, postać cała miała teraz wdzięk majestatyczny kobiety-matki. Ciężki angielski kort jej kostiumu opinał się na jej napróżd podanym biuście i biodrach, wyraźnie się zaznaczających pod miękką, choć grubą tkaniną. Stanik, zrobiony ręką doskonałego krawca, zapięty na boku rzędem wielkich oksydowanych guzików, obejmował ciało, które zdawało się teraz żyć i pulsować przyspieszonym tempem. Jedynie tylko twarz pozostała prawie ta sama, ciągle spokojna, dziewicza, pobladała.

Drzwi otworzyły się cicho i Karol wniósł samowar srebrny, ciemno w oddali połyskujący.

Samowar ustawił na małym stolczku, obok Maryi i, dopomógłszy do naparzenia herbaty, pierwszego zlania wody i powtórnego jej natoczenia, usunął się pod ścianę w postawie wyczekującej na dalsze rozkazy.

Marya, oparłszy rękę o stół, w nowej pogrożyła się zadumie.

Tak, była żoną Stania, była nią już od dwóch lat i kilku miesięcy.

Była żoną!

Lecz czyż była nią w istocie? Ksiądz związał im stulą ręce w malej kaplicy fary miasteczka. Tak było; przypomina sobie przecież dokładnie tę chwilę. Wszak ona zaledwie wtedy podniosła się z choroby, ze świeżo zagojoną raną w piersi, zadaną jej przez morderców ciotki, owej pamiętnej nocy listopadowej.

Gdy się zbudziła z omdlenia, w którym osunęła się pod stopy Orchima i Jankła, krwią

cała zbroczone, znalazła się w swoim pokoju, pod opieką Bukowskiej, w atmosferze przesiąkniętej wonią karbolu i innych środków aptecznych.

Przykuta brakiem sił do pościeli, z przerażeniem wsłuchiwała się w jakiś szmer setek głosów, szumiących na dworskim dziedzińcu.

Chciała zapytać, lecz siły jej nie starczyły. Leżała więc cicho, wpatrując się w splekany sufit swej izdebki.

Nagle drzwi się cicho otworzyły. Bukowska powstała z kanapki, na której siedziała wyprostowana w swej zielonej mantylce, i ku drzwiom się zwróciła.

— I cóż? — zapytała stojącego w progu męża.

— Już ciała wynoszą.

— Obie trumny?

— Obie.

— Czemu nie śpiewają?

Bukowski ręką wskazał w stronę łóżka Maryi.

— Doktor zakazał, boi się o chorą.

Tymczasem umysł pracował gorączkowo.

Trumny... dwie... czyje?

Powoli pamięć jej wracała. W jednej trumnie była niewątpliwie ciocia Leosia, lecz... w drugiej?...

I nagle, siły wszystkie zebrawszy, dziewczyna wyjęczała:

— Ciotka Elżbieta!...

Bukowscy do łóżka się zwrócili.

— Cyt, cyt, nie pytaj, nie mów!

Lecz ona, z uporem chorej, powtarzała przeciągle:

— Ciotka Elżbieta!...

Bukowscy spojrzeli po sobie.

— Chora!—powiedział wreszcie mężczyzna.

Szmer głosów na dworze powiększył się. Teraz widocznie ksiądz przytłumionym głosem, lekliwie, aby nie obudzić chorej, pieśń żalosań zaintonował.

W Maryi targnęło się serce, nagle przeczuciem zdjęte.

— Nie żyje!—wyjęczała, w przestrzeń smutnie się wpatrując.

Bukowski próbował zaprzeczyć.

— Ależ nie, zapewniam panią; to ciocię Leosię wynoszą.

— Obie, obie!—powtórzyła chora.

Teraz Bukowska, ze sprytem kobiecym, ujęła w ręce ster sprawy.

— A więc tak, obie. I ciotka Elżbieta nie żyje. — Trzeba wreszcie, aby dziewczyna dowiedziała się o tem, czy prędzej, czy później.

Marya nie poruszyła się nawet na łóżku.

Tak, od chwil kilku czuła to i wiedziała, iż ciotka Elżbieta żyć przestała. Nie było to jej winą, bronila ją przecie kosztem własnego życia, rwąc się z rąk oprawców w stronę alkierza.

Bukowski, widząc ją spokojną, wysunął się powoli, z orszakiem pogrzebowym się łącząc.

Bukowska stała chwilę jeszcze obok łóżka, wpatrzona w pobladłą twarz rannej.

— Sprawnik czeka w domu na twoje polepszenie się. Morderców jeszcze nie ujęto. Pamiętaj ich?

Lecz Marya nie odpowiadała, pogrążona znów w omdlenie połowicznym, które jej wolę jakby kleszczami więziło. Słyszała pytania Bukowskiej, odpowiedzieć jednak nie miała siły.

Bukowska, widząc jej znużenie, odstąpiła od łóżka i z okna zaczęła przyglądać się orszakowi pogrzebowemu, który zwolna posuwał się już drogą po za bramę, w stronę miasteczka. Na dwóch wiejskich karawanach, z powodu błota, z sukna odartych, dwie wznosiły się trumny czarne, skromne, welwetem obciążone.

Dokoła tłum ludzi, w szarawej ginący pomroce, na dziedzińcu kilka koczów i bryczek.

W kilka godzin później Marya, staraniem lekarzy cokolwiek otrzeźwiona, odpowiadała na pytania przedstawicieli władzy co do morderców.

Gdy przez zaciśnięte jej nerwowo gardło miały przesunąć się nazwiska ujranych w strudze światła ludzi, niepokój ogarnął ją całą. Lecz prędko opanowała swe wzruszenie.

— Orchim i Jankiel... — wyrzekła urywanym głosem.

— Jesteś pani tego pewną?

— Jakkajpewniejszą!...

Teraz czuła się jeszcze więcej zmieszana. Ci mężczyźni, otaczający dokoła jej dziewczęce łoże, mieszała ją, drażnili. Chciała, aby się oddalili, lecz nakazać im tego nie śmiała. Ze zde-

nerwowaniem najwyższem zaczęła szukać oczyma Bukowskiej, która w kącie pokoju z lekarzem rozmawiała.

Nagle wzrok jej doznał olśnienia. W jasnej smudze światła, od okna płynącego, dojrzała nagle Stania, cokolwiek wybladłego i z roztargnieniem na nią spoglądającego. Był ubrany czarno i o całą głowę przerosł wzrostem wszystkich otaczających go mężczyzn.

Marya zagłębiła głowę w poduszki. Pasma włosów, spadające jej dokoła twarzy, piec ją i kłuć zaczęły. Z wysiłkiem zdrową ręką nagarnęła koldrę pod samą szyję, dreszcz ją przejął febryczny, krwawe plamy na policzki wystąpiły.

Lekarz zbliżył się do jej łóżka.

— Na dziś dosyć! — zawyrokował, puls badając — chora jest wyczerpana, oponuję przeciw dalszemu badaniu!

Wszyscy wychodzić zaczęli, zimni, obojętni, sztywni w dopełnianiu zwykłych formalności.

Doktór odstąpił od łóżka dla przygotowania świeżego bandaża.

Nagle Marya zapłonęła cała, jak pochodnia. Stanio zbliżył się do jej łóżka.

— Spodziewam się, kuzynko — rzekł, — że postarasz się jaknajszybciej wrócić do zdrowia. Z mej strony uczynię wszystko, co można, aby wyzdrowienie twoje przyspieszyć. Stanę się egoistą... pracować będę dla... szczęścia własnego...

Nawpół ironiczny, nawpół przymuszony uśmiech okrążył usta młodego człowieka.

Dziewczyna leżała zmieszana, drżąca, z oczyma przymkniętymi, słysząc wyrazy, lecz unikając spotkania chłodnego wzroku szafirowych oczu, których spojrzenie czuła na swej twarzy.

Stanio, skłoniwszy się, wyszedł correct, przygryzając nerwowo wąsy białymi, ostremi zębami.

Dziewczyna pograżyła się teraz w półśnie, rozbierając usłyszane wyrazy.

„Dla szczęścia własnego!“

Och! ci światowi mężczyźni, nawet wobec chorej, rannej, bezdomnej nędzarki nie zapominają o konwenansach i tak, jak żebrakowi różę, rzucają jej kilka słów wytwornych po to chyba, aby odczuła jeszcze ciężej nędzę położenia własnego!

Ze śmiercią ciotki, Siemiatycze stają się własnością Stania, ona jest tu już niepotrzebna, i skoro rana się jej zagoi, a sprawa ukończona zostanie, ona powinna iść w świat! he!... daleko, szukać chleba i pracy u obcych ludzi.

Wieczna tułaczka! wieczna na obcej glebie najemnica!...

.....

Karol, przyklepiony do portyery, chrząknął dyskretnie. Znał już teraz te „zamyślenia się“ pani, które go w rozpacz wprawiały.

Młoda kobieta siedzieć tak mogła dnie ca-

ie, wieczory, pogrążona w myślach, z brwiami zmarszczonemi, z ręką o stół opartą.

Karol jednak pragnął oddalić się do kredensu, aby tam ze stangretem, na rogu stołu pokrytego jeszcze serwetami i resztkami deseru z obiadu, rozpocząć nieśmiertelną rumel pikietę.

Marya ocknęła się z zadumy. Szybko nalala sobie filiżankę wystygłej już prawie herbaty i spojrzała w stronę, gdzie stał zniecierpliwiony lokaj.

— Możesz odejść.

Zuchwały, chłodny wzrok tego mężczyzny mieszał ją niewypowiedzianie.

Nie chciała rozsnuwać przed nim tajemnic swego smutku i chłodu małżeńskiego pożycia, a czuła, że ironiczne spojrzenie lokaja, obejmujące jej samotną postać przy wieczornej herbacie, smaga jej dumne czoło i wstydzić się jej każe!

Gdy Karol wreszcie zniknął, odetchnęła swobodniej.

Od tyłu miesiący gra tę bezustanną komedię, oczekując wieczorem na męża, który powraca dopiero nad ranem i którego kroków odgłos tłumią dywany, zaścielające pokoje!

Rano, przy śniadaniu, wobec ciągle snującego się Karola, może śledzić na czole męża bladeść i zmarszczki, jakie rozpusta nocna kładzie na twarzy viveur'ów.

Dotknięta gorzko w dumie kobiecej, nie pyta, nie bada, zagłębia się w swej pozornej obojętności i uśmiechnięta, uprzejma, posuwa cy-

trynę, którą Stanio do herbaty drżącymi rękami wciska.

On, przygryzając wąsy, swym zwykłym nerwowym ruchem, znużony, spryskany cały wodą i octami toaletowymi, nawet zdaje się nie domyślać, co wre w sercu jego żony, jaka boleść ciężka przepelnia jej duszę, ile goryczy mieści się w uśmiechu, z jakim codziennie rękę na przywitanie podaje.

.....

Jak się to stało, że zgodziła się zostać jego żoną? sama dobrze o tem nie wie.

Testament ciotki, w noc mordu nakreślony, i znaleziony wpośród sprzętów porzuczanych dokoła alkierza, opiewał wolę Elżbiety, wolę ostatnią i stanowczą, mianującą Stania generalnym spadkobiercą, z warunkiem wszakże posłubienia Maryi.

Była to zapewne owa... nagroda, o której mówiła Elżbieta, drzwi alkierza zamykając.

Testament otwarty sprawił piorunujące wrażenie.

Marya leżała wówczas jeszcze w gorączce, lecz Stanio, dowiedziawszy się o kodycyli, wpadł w silne zdenerwowanie i marzył przez kilka chwil o unieważnieniu testamentu. Potem jednak uspokoił się.

Z łatwą zmiennością swej nerwowej natury, zaczął powoli oswajać się z położeniem, i w kilka godzin gotów już był do zaślubienia „kopciuszka”, jak w duchu swym nazywał Maryę. I od

pierwszej chwili przekroczenia jej ubożego pokoju zaczął faire la cour swej narzeczonej.

Dziewczyna, dowiedziawszy się o istotnym stanie rzeczy, zapadła znów w gorączkę. Jakiś przestрах przed tą przepaścią szczęścia, jaka się przed nią otwierała, zmysły jej poprostu mącił.

Ona! ona! żoną Stania!...

Było to jak bajka, jak ów pałac kryształowy, makiem nabijany, o którym w dzieciństwie marzyła.

Powoli jednak prawość jej charakteru zbudziła się z całą mocą. Ręki swej Staniovi oddać nie mogła, nie powinna. Nie ona stworzoną była, aby błyszczeć u jego boku. Za nędzną, za mizerną, za głupią była, aby stanąć u ołtarza przy tym pięknym mężczyźnie.

Drzącym więc głosem, z sercem na wpół rozdartem, wypowiedziała swą wolę, prosząc Bukowskiej, aby zaniósła odmowną odpowiedź narzuczonemu jej przez ciotkę mężowi. Lecz Bukowska, cała podbita kurtuazyą Stania, jego wytwornemi manierami, z krzykiem broniła się przeciw temu poselstwu.

— Zrujnować go pragniesz! — wołała — zrujnować do szczętu. Ta sukcesya jest jedyną jego deską ratunku! Czy nie wiesz, iż w razie odmowy z twej strony, majątek ma przejść na rzecz skarbu? Elżbieta nie myślała o nikim, tylko o was dwojgu! Śmierć Leosi, jej narzekanie przedśmierne, przewróciły jej w głowie! Chciała ci zapewnić szczęście!... I zapewniła!... Il faut être

folle, aby odrzucać rękę takiego, jak Stanio, gentlemana!

Marya, pobladła i drżąca, siedziała teraz na łóżku, plecami o poduszki oparta.

— Jakże mi jego żoną być—wyrzekła cicho— życie mu złamię, płacząc się tak niepotrzebnie!...

Bukowska ramionami wzruszyła.

— Życie ty mu złamiesz, jak go w nędzy pograżysz — wyrzekła.

— Bez przywiązania łączyć się!...

— Ty o sobie nie mów! Tu l'adores à la folie! Ja się znam na tem!

Marya cała zapłonęła.

— Lecz on?...

Bukowska rzuciła się z niecierpliwością.

— Co ci do niego? C'est son affaire!...

W wielkim świecie wszystkie straszne miłości są déplacés, wiedz o tem! A wreszcie... nie sądz, ażebyś mu była obojętną. Sto razy pytał się o ciebie, pragnie cię zobaczyć, i w jego oczach jest coś, coś, co mi mówi: que tu lui deviens quelque chose, bądź pewną!

W gorącej chęci skojarzenia małżeństwa, w którym możliwość dalszej swej i męża egzystencji widziała, jak stara rajfurka, tak wmawiała teraz nieistniejącą Stasia wzajemność, kłamała, cała przejęta ważnością pozyskania kąta i łyżki strawy na ostatek życia.

Dziewczyna, pomimo oporu, zaczęła wsłuchiwać się w jej słowa. Silna odwagą wobec bandy morderców, gryząca ramię chłopca, uzbrojonego nożem, słabła teraz wobec samej sie-

bie, wobec tego uczucia, pragnienia szczęścia, które ją ogarniało bezwiednie i wolę jej krępowało.

Wreszcie, po kilku dniach ciężkiej walki, która ją potem oblewała i resztki sił odbierała, powiedziała wielkie słowo: „tak”, na które Bukowska z drzeniem i gorączką wyczekiwać się zdawała.

Marya usprawiedliwiała się sama w oczach swoich z tego postępu. Stanio był zrujnowany, poświęcała się więc dla niego, ratowała go od nędzy...

Lecz w głębi jej duszy głos silny wołał:

„Kłamiesz!”

Głos ten mówił prawdę. Mocno zakochana dziewczyna spodziewała się uzyskać jakąś cząstkę w życiu męża dla siebie, i... kto wie, może cząstka ta zajęłaby powoli szersze plany, może Stanio odpląciłby jej kiedyś choć cieniem za jej serdeczną, gorącą, wielką miłość.

Drżąca i zapłoniona od ołtarza odeszła.

Pierwsze miesiące jej małżeństwa były dla niej rozkoszną niespodzianką.

Stanio, zblazowany na punkcie kobiet, zaczął w tej nieśmiałości zakochanej dziewczyny znajdować urok nowy i niepojęty. Wśród całej masy kobiet, ta dziewica, kryjąca twarz w fałdy ślubnego welonu, niezgrabna i cała drżąca, miała w sobie wdzięk polnego kwiatu, przeniesionego do wytwornej cieplarni.

Marya ujrzała przed sobą cały swój pałac

kryształowy z dziecinnych lat marzeń i pragnień tajonych.

Jak kwiat w słońcu, tak rozwijała się teraz, pod wpływem miłości.

Nauczyła się nosić z wdziękiem koronki peniuarów, wiązać kunsztowne węzły matinek, dobierać blade tony szlafroków. Kostiumy jej miały cachet artystyczne, fałdy spódnic drapowały się spokojnie; płaszcze, dolmany, narzutki, kapelusze, zlewały się w harmonijną całość.

Popelniła jednak nieostrożność wielką.

W rękach krawców, fryzyerów, perfumiarzy, stała się poprostu lalką... lalką, jedną z tysiąca i do tych podobną. Stanio, w żonie swej, w niejającej muguet'em, owiniętej w różowy lub czarny Sarah, obsyty koronką, odnajdywał swe dawne znajome. Wdzięk, prostota, niezgrabność, to wszystko, co go podniecało urokiem nowości, znikło w powodzi powszedniej banalności, wyszukanej elegancji różowych batystów, mleka irysowego, nicianych koronek, jedwabnych plecionek i wód toaletowych.

Powoli też ostygł zupełnie i, odsunawszy się od żony, która, milcząc, towarzyszyła pogrzebowi swego szczęścia, powrócił do dawnego trybu życia, zostawiając młodej kobiecie, jako całą pociechę, nadzieję przyszłego macierzyństwa.

.....

Nagle szarpnięcie dzwonka wstrząsnęło zamysłoną kobietą.

Przedpokój był dość oddaiony. Ten, który dzwonił, musiał mieć rękę silną lub być nerwowo wzruszony.

Marya, głowę podniósłszy, słuchała zdziwiona. Nie spodziewała się nikogo. Wiedziała, że Stanio nie wróci wcześniej, jak koło piątej zrana.

Żyła odosobniona, składając i otrzymując wzajem tylko konieczne wizyty.

O godzinie dziewiątej wieczorem nikt chyba nie zaglądał do mieszkania Stanisławów.

Szybko przebiegła przez jej głowę myśl o jakimś nieszczęściu, wydarzonym mężowi. Myśl ta przeszła boleśnie jej serce. Poznała, iż miłość dla tego człowieka trwa jeszcze w niej silnie, o wiele silniej, niż przypuszczała.

Porwała się z krzesła, z oczyma we drzwi wlepionemi. Drzwi cicho otworzyły się i stanął w nich Karol, zawsze spokojny i niewzruszony.

— Jakiś pan chce widzieć koniecznie jaśnie panią.

— Jego nazwisko?

— Biletu nie ma przy sobie; ze wsi, powiada, przybywa... Prosił, aby powiedzieć, że to pan Antoni z Horki.

Twarz Maryi rozpromieniła się nagle.

— Prosić! prosić! — zawołała i, widząc, że Karol kieruje się do bocznych drzwi, aby przez mały salonik, do większej sali ceremonialnie gościa wprowadzić:

— Ależ tu! tu! wprowadzić tego pana natychmiast! — zawołała.

Tak dawno nie widziała Antoniego! od pamiętnej chwili rozstania na uroczysku wołochowskiem, zniknęli sobie z przed oczu!

Wreszcie, we drzwiach przez Karola uchylonych, ukazał się Antoni, silny, rosły tylko cokolwiek więcej zmęczony i jakby silnie pomieszany.

Ubrany był po podróżnemu, w sieraczkowym garniturze, długich butach, i stał teraz w progu, rysując się doskonale na tle ciemnobronzowej portyery, cały obłany białem światłem lampy.

Karol z ukrytą ironią spojrział na strój przybyłego gościa.

— Pewnie krewny pani, może brat!... O! już to pani ma ładne pokrewieństwa!

Cicho, układnie zamykając drzwi, wysunął się do kredensu.

Tymczasem Marya wyciągnęła obie ręce do stojącego w progu mężczyzny.

— Niedobry! dopiero teraz przypomniałeś sobie o mnie!... dopiero teraz!... — wyrzekła z wymówką.

Oczy jej się śmiały, cała twarz wyrażała radość wielką.

Antoni ręce jej pochwycił.

— Szczęśliwi świadków nie potrzebują!

Po czole Maryi cień przemknął.

— Tak! tak!... zapewne. Lecz należało wcześniej się o tem szczęściu upewnić.

— Och!... byłem o niem z góry przekonany!

Smieli się teraz oboje, trzymając się za ręce i obrzucając ciekawem spojrzeniem.

On, wydał się jej jeszcze większy, bardziej rozrosły i silny w otoczeniu ścian miejskiego mieszkania. Lecz razem z nim spłynął cały urok wołyńskiego zakątka, wśród liści paproci i szumu Styru drzemiącego. Marya wciągała w siebie pełnemi piersiami woń leśną, którą odzież Antoniego zdawała się być nawskroś przesiąknięta.

Woń ta upajała ją.

Tymczasem on spoglądał na nią z nietajonym uwielbieniem. Rozwinęła się, jak kwiat, smukła a pełna, cała skąpana w jakimś majestatycznym wdzięku kobiety, żyjącej w dobrobycie i dostatku. Ręka, którą trzymał w swych dłoniach, miała gładkość atlasu. We włosach w węzeł zebranych tkwiły widły szylkretowe ze złotym, brylancikami wysadzonym monogramem. Tkanina sukni, krój stanika, lekka warstwa pudru, twarz przysłaniająca, wszystko to dziwiło go i śmiałość mu zwykłą odbierało. Lecz, gdy spojrzał w jej oczy, siną obwódka podkrążone oczy, pełne łagodnego wdzięku, dojrzał w nich dawną szczerłość i prostotę dziewczęcą, tę prostotę, która stanowiła główną podstawę jej piękności, czarującej go duchowym wdziękiem w obramowaniu jodeł i dzwonek leśnych.

— Nie pytasz mnie nawet, pani, jak śmiałem znaleźć się pod progiem twoim o tak spóźnionej porze?

Ona otworzyła szeroko oczy.

Prawda, dopiero teraz przyszła jej na myśl późna godzina.

— Nie wiem, co cię tu sprowadziło, mój dobry przyjacielu. Tak byłem szczęśliwa z twego przybycia, iż konwenanse nie przyszły mi na myśl ani na chwilę. Lecz... rzeczywiście, co się stało? Jesteś w podróżnym ubraniu, prosto z kolei?... Czy jakie nieszczęście?

Gorączkowała się teraz, uderzona nagle myślą jakiegoś niezwyklego zdarzenia, spadającego na nią wśród tej samotnej ciszy zimowego wieczoru. Lecz Antoni milczał, zakłopotany, gryząc wargi, oczy wlepiając w ziemię.

Ona nalegała.

— Powiedz mi wszystko!... proszę! Czy już nie masz do mnie zaufania?

A, widząc jego pomieszenie, dodała:

— Wypowiadaj mi się poprostu, jak siostrze!... Cóż tam masz na sumieniu? Czemu zgrzeszyłeś znowu?...

Dopiero teraz dostrzegła, że blade był i zmizerowany.

— Cierpisz? — zapytała łagodnie — cierpisz i nie chcesz mi zwierzyć swej troski. Pragniesz, abym ci dopomogła? Cóż, Trejne?

Młody człowiek podchwycił szybko:

— Właśnie o nią chodzi!

— Na dobrej więc jesteśmy drodze. Czy zawsze trwasz pan w swoim uczuciu dla niej?

Antoni milczał znów, wąsy przygryzając.

— O! nie lękaj się powiedzieć mi wszystkiego. Dawniej byłem bezlitosna dla twego

uczucia, dziś przecież się wszystko zmieniło. Rozumiem cię, odczuwam z tobą wspólnie troski i niepokoje. Cóż chcesz! serce powoli odtajać w życiu musi i przejść przez wszystkie udręczenia, na jakie jest stworzone! Mów więc!

Mówiła te słowa z prostotą wielką, patrząc jasnymi oczyma w zgnębioną niepokojem twarz mężczyzny.

— Gdzież jest twoja Trejne?

— Tutaj!

Ona cofnęła się zdumiona.

— Jakto... tutaj?

— Czeka w dorożce przed bramą.

— Uciekła!

Antoni teraz głowę podniósł, cały zgorączkowany, pragnąc wyrzucić wreszcie z siebie potok dławiących go wyrazów.

— Tak! tak!—wyrzekł szybko—uciekła, albo raczej uciekliśmy oboje wczorajszej nocy. Życie tej biednej dziewczyny stawało się nieznośną męczarnią. Rodzina ją prześladowała. Wreszcie dzięki to stworzenie, oswojone potrosze przezmnie, zapragnęło światła i... wiary! Tak jest! wiary! Przywiozłem ją tutaj z zamiarem ochrzczczenia. Gdy chrzest św. przyjmie, wtedy!... wtedy ją zaślubię!

Marya wyciągnęła ręce strwożona.

— Żydówkę?

Głębokie uprzedzenie zabrzmiało w tym wyrazie.

— Gdy chrzest przyjmie, przestanie nią być.

— Tak sądzisz?

— Jestem przekonany!

Milczenie zapanowało chwilę, milczenie ciężkie, jak olów.

Antoni otarł pot z czoła.

— Liczyłem na panią — wybelkotał wreszcie — liczyłem, że mi dopomożesz i... narzeczoną moją w dom swój przyjąć raczysz. Do hotelu zawieźć jej nie mogę. Obawiam się pogoni. Jutro umieszczę ją w klaszorze.

Marya milczała oddychając ciężko.

Trejne! córka Jankła, którego twarz Marya widziała ciągle, schylonego nad sobą z nożem, w jasnej smudze światła. Trejne u niej? pod jej dachem?...

— O... gdybyś ją znalazła bliżej—ciągnął dalek Antoni zdenerwowany i drżący—nie wahałabyś się ani na chwilę uczynić zadość mej prośbie. Proste serce, ale gorące, szlachetne, czyste, pełne najlepszych instynktów!... Wreszcie już się stało klamka zapadła! co robić? co robić?...

Oparł się o krzesło, zmęczony nad wyraz wszelki.

Marya spojrzała nań uważniej i poczuła; w swem sercu litość wielką dla tego mężczyzny, uginającego się pod ciężarem przygniatającego go uczucia.

— Kochasz więc ją tak bardzo? — zapytała łagodnie.

Oczy Antoniego żywym zapłonęły blaskiem.

— Bez pamięci!—odparł niskim, przytłumionym głosem.

Obie ręce kobiety wyciągnęły się ku niemu powoli.

— Przeprowadź więc ją!—wyrzekła z uśmiechem.

.

W kilka godzin później w małym salonie purpurowy abażur przepuszczał czerwone blaski. Na niskiej sofie, obfitej ciemno-wiśniowym aksamitem, siedziała Marya, wiodąc cichą rozmowę z Antonim.

W przeciwległym rogu pokoju, na miękkim, szerokim fotelu spała Trejne; owinięta w fałdy białego, flanelowego szlafroka Maryi, która, zdjąwszy z niej podróżne lachmany, w swą własną odzież przebrać się jej kazała. Żydówka spała, oddychając lekko, znużona podróżą, rozmarzona ciepłem, panującym w mieszkaniu i wonią kwitnącej tułerozy, bielącej się w dębowej, delikatnie rzeźbionej żardinierce. Czarna kaskada włosów, jak zawsze rozczochrana i na plecy pękami rzucona, zlewała się z ciemnym tłem fotelu. Po nad głową dziewczyny olbrzymia palma lśniące rozkładała liście. Pomiędzy temi zielonemi wachlarzami, wzbijała się wysoko biała datura, rozchylająca wspinały swój kielich.

Dalej ściany pokryte aksamitem łączyły się z lampionami sufitu, przeciętymi waziuchną linią złotych żyłek. W aksamit oprawne lustra kładły na ścianach czarno stalowe plamy. Pod nimi stojące, „bonheurs du jour”, w stylu Ludwika XVI-go, zatracaly kontury swych drzewiczek czar-

nych, wykładanych kolorowo i tylko brzozy żółciły się niepewnym blaskiem.

Ściana, pod którą stało pianino, tonęła zupełnie w cieniu, migając tylko złotem bordiur i białą marmurowego biustu, występującego jak duch z fałd aksamitu.

I całe światło koncentrowało się właśnie na uśpionej twarzy żydówki, światło żółto-czerwone, przefiltrowane przez jedwab abażuru, podłożony różową koronką. W oświetleniu tem blada jej twarz nabierała krwawych refleksów z ciemnozielonemi tonami podkrawędzi ocznych, zapadnięć brody i zgięć szyi, wydostającej się z pod wełnianych koronek szlafroka.

Marya z pochyloną głową słuchała teraz opowiadania Antoniego, który z całą szczerością i dobrą wiarą w przyszłość spowiadał się jej ze swych pragnień i dążeń.

— Biedniaczka to! — mówił, na uśpioną w krwawej powodzi blasków dziewczynę ukazując — cóż winna, że do mnie przylgnęła sercem całym? Ja pierwszy pociągnę ją ku sobie. Dziś mi ją szanować jak świętość przychodzi, boć w prostocie swej dziecięcej, nieskazona to i czysta istota, ot, jak gołąbka poprostu.

Marya spojrzała na Trejną i dziwnego doznała nagle olśnienia.

Żydówka zarysowała się jej, jak nieziemskie widziadło, pięknnością swą potężne i groźne.

W śnie pogrążona, miała w sobie nieruchomość sfinksa, tajemniczego w swej przyczajonej pozie. Ramiona jej silne, życiem tętniące, z pod

szerokich rękawów szlafroka występowały, jakby wyrzeźbione, na tle ciemnego aksamitu czysto się odcinając.

— Piękna jest! — wyrzekła jakby do siebie; nagłym, a niewytłomaczonym niepokojem zdjęta.

— Piękna bardzo — podchwycił Antoni, cały rozpromieniony — piękniejszej bo chyba kobiety nie widziałem! piękna i dobra, o! dobra bardzo!

Z poczciwem rozrzewnieniem wpatrzył się w twarz Trejny, mającej w tej chwili w zagięciu purpurowych drobnych warg, w zmarszczeniu brwi, silnym łukiem zarysowanych, coś z drapieżnego zwierzęcia, w blaskach krwawych zachodzącego słońca uśpionego.

Marya oparła głowę na dloni.

— Szczęście to dla pana, że ciało to nie zadaje kłamu duszy, szczęście wielkie, a przecież tak rzadkie, na świecie! tak rzadkie! I dla tego pozwól sobie powiedzieć, drogi przyjacielu, nie pozwalaj się unosić pozorom, zgruntuj dobrze charakter tej, z którą wiążesz się na życie całe...

Antoni porwał się z miejsca.

— Ależ, jak Boga kocham — zawołał, uderzając się w szerokie piersi — Trejne to anioł, jak Boga jedyne kocham!

Marya uśmiechnęła się na widok tego zapalu.

— Nie przysięgaj niepotrzebnie. Wierzę ci i bez tego, i z całej duszy pragnę, aby tak było! Zresztą, okropną byłaby niewdzięcznicą, gdyby ci za twe przywiązanie odplacić miała złą wolą.

— Nie odplaci! nie! Głupia jest, prosta, ciemna, to prawda, ale poczciwa! A że głupia,

tem lepiej, ja prostak także... oboje prochu nie wymyślimy.

Śmiał się, ale nie szczerze, umyślnie obniżając swój poziom umysłowy dla zrównania się z tą, którą tak bardzo ukochał.

Marya spojrzała na niego z uczuciem serdecznej litości. Instynktem kobiecym wiedziona, czuła, co mieści się w głębi duszy Trejny; rozumiała ból i zawód serdeczny, gdy nagle w życiu druga istota, mająca starczyć za świat cały, okaże się zimnym trupem, rozkładającym się szybko w atmosferze zgnilizny i zubożenia.

— Gdy ślub weźmiemy, przeniosę się z Hor-ki w dalsze strony Wołynia — mówił tymczasem Antoni — kontrakt eksperyduje na święty Jan. Czas mieć będę do rozpatrzenia się po posesjach; służby u Brunona dość mi już, zwłaszcza teraz, kiedy zwaryował na starość, i lada dzień do Warszawy na kurację się wybierze. Robi się coraz skąpszym i nieznośniejszym.

Marya uśmiechnęła się wesoło.

— Brunon w Warszawie?

— Ależ tak! Rozrywkę będziesz pani mieć... choć zapewne państwu rozrywek nie brak. Co to za miasto! Wesele i wesele!... nie to, co wieś!... A jakie latarnie! porządki. Trejne mało z dorożki nie wyskoczyła!... Gołąbka!

Zegar, na kominku stojący, wydzwonił jedenaście.

— Ot, późno już; zagawędziłem się. Męża już się nie doczekam, a tak chciałem go poznać! Dzielny to musi być chłopiec, kiedy taką żelazną

wolę potrafił zmiękczyć i do serca nieprzystępnego, a hardzego trafili. Ha?

Śmiał się zadowolony, że przyszła nań teraz godzina odwetu za doznane ongi na Uroczysku Wołochowskiem upokorzenie.

— A gdzież on? — zagadnął zdziwiony tą nieobecnością męża o wieczornej porze.

Nagły rumieniec oblał twarz Maryi.

— W klubie... posiedzenie—odparła, poprawiając fałdy sukni.

— W jakim klubie?—ciągnął Antoni!

— Myśliwskim klubie.

— A... to polują w mieście?—zapytał naiwnie—polują? gdzie to? Ja tylko ulice widziałem. Ot, co to wielkie miasto! Polowania nawet mają pod ręką. Ale już późno, wróciłby chyba mógł?

— Wróci za chwilę—przerwała Marya.—Nie chcesz pan syna mego zobaczyć? Śpi już, ale choć w kołysce, niech ci jedyne me szczęście pokażę.

Podniosła się szybko, zmieszana tem słowem „jedyne”, które wymknęło się jej na usta bezwiednie.

— Chodźmy... zobaczysz pan Jerzusia, a później do hotelu pojedziesz. Męża mego zatrzymało jakieś posiedzenie ważne... Jutro się poznacie.

Podniosła portyerę i, uśmiechając się, dodała:

— Nie śmieję się pan ze mnie, że jak każda matka, do kołyski cię prowadzę, ale wierz mi, to jedyne pokój i zadowolenie.

Wyciągniętą ręką wskazywała mu teraz wewnątrz swego pokoju, w którym lekkie, błękitne panowało światło. Na kilku stopniach, pokrytych białą niedźwiedzią skórą, stało łóżko niskie, rzeźbione, z drzewa różanego, wykładanego palisandrem. Szaro-stalowa, jedwabna kołdra, oszyta koronkami, okrywała je szczelnie. Firanki, ze stalowego atlasu, zwieszały się od sufitu w zimnych, lśniących fałdach.

Tualeta duchesse, z draperyą koronek i stalowych wstążek, migala srebrem przyborów i białością całego doboru szczonek. Niskie meble, stalową kryte materyą w wielkie srebrnawe bukiety, lustro w srebrnych ramach, lampa zawieszona na stalowych łańcuszkach, wszystko zimne, smutne, puste, jak wielka lodowa przestrzeń, migocące w srebrnych blaskach księżycy.

Tylko w białem wyłożeniu koronkowych draperyi wielki krzyż ciemny czernił na głównej ścianie łóżka, jakby stojąc na straży snu kobiety, która w upokorzeniu serdecznem po całych nocach nieraz w łzach bez skargi tonęła.

Okolo łóżka, przeniesiona kołyska Jerzusia rzucała jasny zwój obłocznych muślinów w chłodną przestrzeń sypialni.

Lekka woń werweny i konwalii unosiła się w powietrzu. Wiązanka białych kwiatów wędła w kryształowej czarce, którą urósł na swym grzbiecie kłęzący, srebrny amerek.

Marya teraz stała przy kołysce i, delikatnie firanki odsłaniając, z uśmiechem na uśpione dziecko spoglądała.

Antoni zatrzymał się na progu, uderzony niezmiernie wdzięcznym widokiem, który tworzyła ta młoda kobieta nad kolebką dziecka, cała skąpana w bladawem świetle, rozplywającym się w przestrzeni. Słodki uśmiech, okalający jej usta, czynił ją piękną; cała postać łagodna, harmonijna w rysunku, jasną barwą odzieży zlewała się z martwemi tonami obicia i draperyi firanek.

— Jakżeś pani wypiękniała! — wyrzekł prawie bezwiednie.

Ona uśmiechnęła się radośnie, jakby światło z białej kołyski płynące, dodawało blasku radośnego jej twarzy.

— Wobec mego syna nie mówi się o piękności. Spójrz pan... oto jest uroda i duma matki!... oto jest najpiękniejsze dziecko na świecie!...

Śmiała się przez łzy, cała pogrążona w jakiejś ekstazie przed tą drobną twarzyczką, snem zarumienioną i w cienką webę poszewek wciśniętą.

Antoni niezgrabnie na palcach zbliżył się do kołyski.

— Śliczny chłoptaş — wyrzekł wreszcie zakłopotany, nie mogąc znaleźć słów dla podbicia dostatecznego matki.

— Śliczny! to mało! — zawołała Marya — prześliczny i to jeszcze mało! A jaki duży na swój wiek, olbrzymi!... A rozum!... nie, pan o tem nie możesz mieć wyobrażenia!

Ożywiona cała, poprawiała kołderkę, układała małe, tłuste rączki z poobcinanemi krótko pazurkami.

Antoni tymczasem patrzył znów na nią z zachwytem. Przedzierała ich kołyska, nad którą oboje nachyleni dotykali się prawie włosami, nie uczuwając tego bezwiednego zbliżenia.

Nagle oczy ich spotkały się i chwilę tonęły w sobie, jakby siłą jakąś nadprzyrodzoną przykute. Trwało to krótką chwilę, a jednak zmieszalo ich oboje.

Jakieś szmery płynące z salonu, wyrwały ich z tego dziwnego stanu.

Marya postąpiła ku drzwiom i szybko podniosła portyere. Za nią do salonu wszedł Antoni, cały jeszcze przejęty doznaniem wrażeniem.

Lecz u progu wrażenie to znikło, ustępując miejsca innemu.

Na środku salonu stał Stanio, ze zdziwieniem spoglądający na przeciągającą się i zbudzoną jego wejściem Trejnę.

Żydówka, ujrawszy obcego mężczyznę, w pierwszej chwili strwożona, uśmiechnęła się, drapieżnie włosy rękami z twarzy odgarniając.

On stał, zdumiony tem niespodziewanem zjawiskiem, ukazującym się mu nagle w krwawych refleksach na tle purpurowego aksamitu.

Olśniony, stał ciągle z kapeluszem w ręku na środku sali, sam piękny, doskonale ubrany, woniejący zdaleka cordalisem. Przed nim, na ciemnem tle fotelu, wężowato wygięta biała postać z wyciągniętymi w górę ramionami, z oczy-

ma ciemnymi jak przepaść, z masą czarnych włosów dokoła twarzy i szyi rozrzuconą, kapiała się w jaskrawej powodzi światel.

Z niemej tej kontemplacji zbudził Stania głos żony, przedstawiający mu przyjaciela z Uroczyska Wołochowskiego.

Wzrok Stania prześliznął się po postaci Antoniego i znów z uporem zatrzymał się na wpatrzonej w niego żydówce.

Marya oczyma wśladał za tym wzrokiem pobiegła.

Poczuła gorąco w piersiach.

Wyciągnęła jednak ramię, jakby chcąc ręką swą, na której połyskiwała ślubna obrączka, przeciąć prąd, płynący z tych dwóch pięknych postaci ku sobie.

— A to jego narzeczona! — wyrzekła surowym i silnym głosem.

XI.

Powoli, odwijając bibułki otaczające zabawki, układała Marya na brzegu kontuaru błyszczące cacka, neseserki pluszowe, kornety, przystrojone wstążkami, pudełeczka ozdobione ręcznym malowidłem, japońszczyzną drobiazgową, słowem cały bric à brac świecących bazarów, przerzucony w atmosferę chłodną sal reutowych, w których błąkało się światło dnia zimowego, niepewne i wilgotne.

Wzdłuż ścian wyciągały się linią prostą sklepy, przystrojone fałdami białego grubego musli-
nu, przeciętego ruszami organtyny, o zielonawych lub różowych wyblakłych tonach.

Przed sklepami szeleściły całe masy bibuł różnokolorowych, płacząc się w treny powłóczy-
stych sukien kobiet, krążących na wsze strony po chodnikach.

Panowie delegowani przebiegali z minami zaaferowanemi, skrzypiąc przeraźliwie butami, zaczepiani co chwila przez damy delegowane, któ-

re potrzebowały informacji, co do przebiegu wenty.

— Tylko żadnej karoty! żadnej karoty!

— O, naturalnie, c'est convenu.

Jak stado wróbli rozpierzchały się znów na wszystkie strony w swych, przeważnie ciemnych, tualetach. Kręciły głowami, domagały się przystrojenia sklepów, pociągały fałdy muślinu, obrywały lambrekiny, przerzucały fotografie, oglądały pierniki, tłukły wazony, gniotły poustawiane w rogach sali choinki i wreszcie, wszedłszy za kontuar, opadały na krzesła, znużone, wyczerpane, deklarując, że są zupełnie „lasses” i niewiadomo, „jak do wieczora wytrzymają”.

Cały ten szczebiot gorączkowy, cała ta nerwowa ruchliwość istot zwykle beczynnych, znajdowała tu doskonałe ujście, wśród zacieśnionych klatek sklepowych, w |chorobliwym świetle źle oczyszczonych szyb, przysłonionych jeszcze białym perkalem stor pofałdowanych.

Na samym środku sali, jakby drogowskaz wśród rozstaju, sterczał kiosk, obwinięty kwiatami, gałęziami poźółkłego bluszczu i obstawiony doniczkami azalii. Gdzieniedzie czerwona kamelia krwawiła ciemne tło gałęzi świerkowych.

Na lewo od kiosku rozkładała się księgarnia cała purpurą i szafirem książek błyszcząca. Kosze jeszcze wyladowywano, rozrzucając wszędzie całe setki kalendarzy w żółtej pomazanej okładce. Kalendarze te, jak rój motyli spadły na kontuar, czepiały się filarów i zólcili się na fałdach muślinu.

Obok bielizna śniegiem swych koronek piętrzyła się puszysta i zimna, rozweselona tylko jasnotliliową suknią damy sprzedającej. Z osłon sąsiedniego sklepu świeciły wyroby Christofla, mieniać się srebrem w wygięciach serwisów i kandelabrow. Tuż obok, różowe, nastrzępione masy bibulki, w które poobwijano pierniki, śmiały się wesolo całą gamą jasnych barw i odcieni; stosami piętrzyły się ku górze na tle białego muślinu, jak rzędy wieśniaczek, tańczących wśród jasnego dnia farandolę i migających w świetle barwną falą sukien.

Obok płonęły żółte światła. Zapalono kilka lamp w sklepie następującym, w którym miano sprzedawać lampy. Na smukłych stalowych podstawach wysokie francuskie wznosiły się klosze, niby grzęda tulipanów różowych, o białawych mlecznych odcieniach, klomb kwiatów mistycznych, bezwonnych, bezlistnych na połyskujących lodygach oparty. Z góry na delikatnych łańcuszkach zwieszały się veilleusy blad różowe, błękitne lub bizantyjskie, kolorowemi szklami wysadzone.

Tymczasem od bufetu płynął już szczepek łyżeczek i gwar chłopców cukierniczych, migających zdaleka białą swych długich fartuchów, a na galerii, pustej jeszcze, krzątała się służba, rozstawiając pulpity orkiestrowe. Przez kręcone wschodki pomykał skurczony muzykant z pliką nut, ujętą w okładki tekturowe, za nim mały chłopiec dźwigał duże pudło z wiolą, gazmajster otwierał krany gazowe i zamykał je pośpiesznie, ocierając ręce o balustradę.

Marya, spokojnie, bez gorączkowego i nerwowego pośpiechu, zajmowała się przystrojeniem swego sklepu. Wymowała z pudełek na ziemi stojących cacka i rozwieszała je dokoła fałd muślinowych, przytwierdzając wstążeczki wielkimi, lawowymi szpilkami. Służący, pochylony nad pudłami, dopomagał jej dość wprawnie, od dwóch lat przyzwyczajony do tej atmosfery bazarowej, pełnej ruchu i nerwowego niepokoju. Cały kontuar, pokryty piękną, miękką turecką makatą, założył już lalkami, butonierkami z fiołków, sachetami woniejącymi irysem i cordalisem, a teraz wyciągał lusterka orientalne, emaliowane, przyozdobione purpurowymi kokardami, i zabierał się do ułożenia ich na brzegu kontuaru.

— Nie tu—wyrzekła Marya—nie tu! Przechodzący na ziemię zrzucić je mogą!

Lokaj zatrzymał się nagle, zdetonowany, i stał z rękami opuszczonemi, spoglądając w głąb sklepu.

— Lusterka ułożymy na półkach — zawyrokowała Marya.

— A ja dopomogę...

Młoda kobieta odwróciła się szybko.

Przed nią stał, uśmiechnięty radośnie, młody blondyn o wyblakłych szarych oczach i spieczonych wargach. Rzadkie włosy, zczesane umiejętnie ku przodowi, spadały mu na czoło w formie grzywki. Wiewiórczą miał on twarz i wiewiórcze spojrzenie, połączone z ironią zużytego viveur'a, który mówi o życiu „to głupie życie”, a o świecie „ten świat idyotyczny.”

Marya, spojrzawszy na tę twarz, dobrze wymyła i wypieszczoną, w oprawie rudawych bokobrodów, uśmiechnęła się mimowoli.

Młody człowiek uśmiech ten podchwycił.

— Uśmieszek jest, wszystko dobrze! Pozwolenie otrzymane. Od tej chwili instaluję się w sklepie!

— Zwolna, zwolna!—odparła Marya—nie jesteś pan delegowanym...

— Si fait! delegował mnie Stanio!

— A!

Po twarzy Maryi przemknął cień chwilowy, siłą woli jednak uśmiech przywołany ukazał się nanowo. Mężczyzna wszakże cień ten pochwytał.

— Stanio jest dziś zajęty... więc ja!

Marya zmarszczyła brwi.

— Wiem, że mąż mój jest zajęty i nie oczekuję tu na jego przybycie.

Młody człowiek uśmiechnął się ironicznie.

— Si fait, jednak to krok bardzo nieostrożny z jego strony.

— Dlaczego?

— On ne badine pas...

Urwał, głowę pochylił i wiązanie makaty skubał długimi, cienkimi palcami.

Szczera wesołość rozjaśniła twarz Maryi.

— Dlaczego pan nie kończysz?

Mężczyzna przybrał minę aktorki, grającej w trzydziestu latach naiwną dziewczynkę.

— Nie wypada!...

Marya śmiała się teraz na dobre.

— Dlaczego?

— Bo... bo...

— Ostrożnie tymczasem z moją serwetą i całym sklepem. Zrzucisz mi go pan na ziemię!

— La belle affaire, takich bric à brac'ów dostanę wszędzie.

— Nie wszędzie.

— Pour cause?

— Bo to moja praca.

— A d'autres. Nie wierzę!

— Powinnabym się gniewać za tę niewiarę, ale nie mam na to czasu. Dopomóż mi pan do zawieszenia tej bombonierki. O! tam, wysoko!...

— Tout la haut?

— Oui, la haut! jeśli pan chcesz koniecznie.

Mężczyzna wspiął się na palce, śmieszny w swem długim futrze z peleryną, które ciągnęło go całą siłą ku ziemi.

Marya tymczasem wyjęła z pudełek cały tuzin małych z ukrytą maszyneryą maszynek i delikatnie ustawiała je na szklanej tacce.

— Jak pan myślisz?—zapytała wreszcie—jaką cenę na te myszki oznaczyć?

Mężczyzna przez ramię spojrział na zabawki.

— Que sais-je... dziesięć, piętnaście rubli...
Marya wybuchnęła śmiechem.

— A któż je za tę cenę kupi?

Młody człowiek skończył zawieszanie bombonierki, i schował się teraz cały w futro, tak, że zaledwie czubek rudej głowy wystawał z ciemnego błamu bobrów.

— Ja kupię!—wyrzekł z determinacją.

— Och!... pan!... nie o to tu chodzi. Sprzedający powinien unikać karoty.

— Karota musi być!...

— Nie będzie jej!

— To ja idę do domu.

Nogami tupał i ręce w rękawy futra chował ruchem zakonnicy.

Marya ramionami wzruszyła.

— Och! ten pan Leon! — wyrzekła narzeczcie.

Młody człowiek w pół się wygiął.

— Prawda? niema, jak ja? — przymilał się, oczy mrużąc.

Ona roześmiała się na widok tego wesołego idyoty, który szedł przez życie niewiedomo w jakim celu.

— Niema, jak pan!...—powtórzyła wesoło.

Weszła teraz za kontuar, przyglądając się własnemu dziełu. Tu i owdzie poprawiła jeszcze sukienkę lalki, czapkę pajaca, węzeł wstążki na pałaku koszyczka. Odśloniła pokrywki pudełek, pełnych fiołków smażonych, pomieszała „żaponaze” ze szkatuleczkami, imitującymi neserki Maryi Antoniny.

Światło padało na nią, cokolwiek przyćmione fałdami muslinu. W tem przyćmieniu Marya miała cerę niezmiernie delikatną z różowemi cie-

niami na policzkach, uszach i brodzie. Suknia z szaro-stalowego pluszu opinała jej nad wyraz kształtną kibić. Pod szyją srebrzył się delikatny haft stalowego szutasu, także hafty obejmowały rękawy i dwie długie klapy z boku otwartej polonezy. Z tegoż pluszu toczek ze stalowymi pomponami przyciskał delikatnie zafryzowaną grzywkę. Obok, na krześle, leżała zarzutka pluszowa, cała obszyta chinchillami i podbita ciemno-złotym atlasem. Delikatny zapach muguet'u unosił się dookoła niej całej. Miała w sobie wdzięk wytworny kobiety spokojnej i nie szarpiącej nérwami tych, którzy ją otaczali.

Gospodarowała w faldach białego namiotu cicho i z wielką wprawą. Służący oddalił się teraz od namiotu, podawszy swej pani cienki zeszyt i w srebro oprawny ołówek. Obok ustawiła sama Marya kobiałkę drucianą, przeznaczoną na drobne pieniądze. Leon wyciągnął rękę.

— Ja nad tem będę czuwał.

— Chyba zewnątrz, bo w sklepie się pan nie zmieścisz.

— Dlaczego?

— Na futro i pana miejsca niema!

Leon się skrzywił pociesznie.

— Więc... mam zdjąć?

— Zdaje się.

— Oh, Dieu!... tak zimno.

— Ja przecież nie marznę!

— O, pani!... Pani to co innego!

Powiedział te słowa z głębokiem przekonaniem.

Zrzucił wreszcie futro i ukazał się nagle w ostrem świetle, z pod sufitu płynącym, nędzny, mały, pomimo wywatowanych pleców, ramion i piersi angleza.

Wszedł po za kontuar i przysunął się do Maryi z miną zepsutego dziecka.

— Wie pani? — wyrzekł tajemniczo — w Paryżu ukuli nowy wyraz!

— Jakiż to?

— Pourri de chic! ha? ładne?

— Po polsku znaczy: zgnily od szyku! hm! nie powiem, aby to było ładne!

Leon ramionami ruszył.

— Bo to po polsku niedobrze wygląda. Ale po francusku: pourri de chic! pourri de chic!

Głową kręcił, uśmiechał się sam do siebie.

— „Gil Blas” go ukul!

— Ładny majster!

— Co pani chcesz, potęga! przygniatająca potęga!

— „Gil Blas?”

— Si fait i baron de Vaux, ten od ech, osobistość wybitna. Paryżem trzęsie.

Popukał się palcem w głowę.

— Pourri de chic! — powtórzył — wspaniałe! pourri de chic!

Marya odwróciła się teraz cała ku młodemu człowiekowi, który zdawał się być pogrążony w silnej ekstazie.

— Panie Leonie! — zapytała go nagle — czy rzeczywiście tak mało masz pan w głowie poważniejszych myśli?

Leon spojrział na nią zamglonemi oczyma.

— Si fait — odparł, śmiejąc się — jestem skończonym idyotą.

— Pozujesz pan na takiego, to prawda, lecz nim pan nie jesteś.

— Ależ!

— Tak! tak! wiem o tem dobrze. Wiem, że masz dobre serce, wykształcenie...

Leon machnął ręką.

— Ech... encyklopedyczne...

— Pana wina.

— Nie moja. Tak mnie wychowali. Teraz zapóźno wychowanie rozpoczynać. Chyba gdybyś pani zechciała.

Lecz Marya z uśmiechem wyciągnęła rękę, tworząc w ten sposób żywą a niezłomną zapórę pomiędzy sobą i młodym człowiekiem.

— Nie mam czasu wychowywać pana — odparła swobodnie, bynajmniej zuchwalstwem mężczyzny nie wyprowadzona z równowagi — mam syna, Jerzusia; o jego wychowaniu myśleć muszę. Matką jestem, zapomniałeś pan o tem?

Głos jej brzmiał teraz nieco surowiej, oczy powlokły się ciemną mgłą smutku.

Leon instynktem odczuł, że pod maską swobody kryła się w tej chwili znieważona duma kobieca.

— Nie zapomniałem!—zawołał przekornie— chciałem się właśnie o pana Jerzego spytać. Musi być épatant?...

Uśmiech powrócił na usta Maryi.

— Dobre z pana dziecko. Czujesz niewłaściwość swych słów poprzednich i pragniesz zatrzeć sprawione wrażenie. Obraziwszy kobietę — matkę pochlebiasz.

Mężczyzna wysunął wargi, obrośnięte rzadkim, rudym wąsem.

— Przepraszam — wyszeptał, składając ręce.

— Nie gniewam się — odparła Marya z prostotą — rzecz to tak naturalna. Widząc mnie samą, różne się myśli po głowie takiej, jak pana roją; a ja tak często jestem sama!

Ostatnie słowa wyrwały się jej mimowoli z głębi serca. Wymówiwszy je, zmieszała się i szybko mrugać powiekami zaczęła.

Lecz Leon pochwycił w lot te słowa.

— Dlaczego Stasio nie jest z panią razem? — zapytał — przecież on...

Lecz dokończyć nie mógł. Marya szybko brwi zmarszczyła i przerwała mu rozpoczęte zdanie.

— Mąż mój wie sam, co robi, najlepiej. Winą to moją, iż nieumiałam zastosować się do jego życia i ułożyć godzin mych zajęć równo z godzinami jego swobody.

Leon patrzył na nią uważnie.

— Jesteś pani stanowczo une femme épatante, a co więcej, godną największego uwielbienia. A gdy ci to mówi taki petit creve, jak ja, wierzyć temu możesz. Takiego sacre animal nic już nie poruszy, chyba widok uroczej i uczciwej kobiety.

— Obmawiasz się niesłusznie, wierz mi pan. Na dzień twej duszy leżą najpiękniejsze instynkta. Trzeba je tylko obudzić!...

Leon westchnął.

— Chciałbym de tout mon coeur, ale cóż zrobić? samemu nie idzie.

— Dopomogę panu!

— Oh!

— Chcesz wypełnić dobry uczynek?

— Najchętniej, jeśli tylko nie idzie o małych Chińczyków, których ratują już dostatecznie w Krakowie.

— Nie, nie! — Jesteś pan antysemitą?

— Ça dépend.

— Wiem, co mi odpowiesz. Za staraniem mojem chrzci się żydówka, córka koniokrada, a zarazem mordercy mej ciotki.

— Vendetta?

— Och! jeśli w ten sposób pan rzeczy pojmujesz...

— Nie, nie! żartowałem po swojemu. Słucham uważnie.

— Trzymaj ją pan do chrztu.

— Z kim?

— Ze mną!

— Ależ najchętniej. Kiedyż ta rzecz się od będzie?

— W maju.

— Miesiąc słowików!

— Znów żarty!

— Nie, nie... jestem spokojny... słucham rozkazów... radość mnie unosi. Pani jesteś aniołem...

Podskakiwał pomiędzy pakami i paczkami, uniesiony dobrocią Maryi.

W tej chwili do kontuaru zbliżyły się dwie damy, wlokące za sobą chłopczyka w czapeczce barankowej. Marya powstała z krzesła i zbliżyła się z uprzejmym uśmiechem.

— Czem mogę służyć?

Damy dotykały wszystkich przedmiotów, obracały w rękach zabawki, mięły kokardy wstążek.

Leon zapragnął być użytecznym.

— Lusterka wspaniałe, orientalne, hare-mowe!

Ręką na półki wskazywał.

Marya, dla zatarcia owego „haremu”, szybko poduszeczki do szpileczek podsuwała.

— Pelotki? — zapytała jedna z dam, wysoko do nosa poduszeczkę podnosząc.

— Tak jest! — odparła Marya.

— Pachną?

— Si fait — wtrącił Leon.

— Czemże to pachnie?

— Muguetem, corylopsisem, cordalisem, hiszpańską skórą... według woli!

— Aha!

Rękami, ubraniami w zbyt duże rękawiczki, plusz poduszeczek gniotły, a chłopiec fijołki z bombonierek wybierał i zjadał, mrużąc zezowate oczy.

— My tu jeszcze wrócimy!—rzuciła wreszcie jedna z dam w formie pożegnania.

Za chwilę czerniały, jak dwie plamy, przed kontuarem księgarni, gdzie przerzucały książki.

I powoli zaczęła się defilada ludzi zziębniętych, zdziwionych, niezadowolonych, defilada istot, uznających za obowiązek być przy otwarciu wrót bazaru, ludzi niekupujących, lecz przychodzących na tak zwane „przeszpiewki” z pustą kieszenią i jakąś zawiścią w sercu.

Mimo to, w obramowaniach muślinu damy prostowały już swe torsy, uśmiechając się, potrząsając porte bonheur'ami spadającymi wkoło cienkich, duńskich rękawiczek. Powoli, powłóczył się spojrzeniem, magnetyzowały wzrokiem rzadkich prz echodniów, którzy szli, szurając piętami po podłodze, z minami ludzi, przyłapanych nagle wśród drzemiącej pustyni.

Leon nieznacznie usta skrzywił.

— To są quidamy — zawyrokował.

Marya powoli zwróciła ku niemu swój profil.

— Powróćmy do naszej rozmowy—wyrzekła, nie siadając wszakże, lecz stojąc przed kontuarem, jak inne damy.—Proponuję panu, żebyś został ojcem chrzestnym Gołdy, bo wiem, że z kółka moich znajomych najlepszy grunt w panu znajduję. Prawda?

Mówiła powoli, ważąc niemal każde słowo. Leon uczył się trochę zmieszany uroczyością tego tonu.

— Si fait — odrzekł, prostując swą przygarbioną postać — niema, jak ja!

— Widziałam pana kilka razy w kościele—ciągnęła dalej Marya — o ile mi się zdaje, masz pan trochę wiary w sercu!

— Si fait — odparł Leon — skoro pani zechcesz.

— Ja nic nie chcę. Konstatuję tylko pańa dobre strony i tłumaczę mu, dlaczego pragnę być pana kumą.

— Oh! maraine!

— Cicho... słuchaj pan dalszych słów moich. Chrzestną swą córkę zobaczysz w chwili uroczystej. Czy potrzebuję pana objaśniać, jak się cała rzecz odbędzie? Zdaje się, że nie. Zresztą, mamy jeszcze na to dość czasu. Spodziewam się, że sam akt do twego serca przemówi tak uroczyście, iż zapomnisz o baronach de Vaux i wszystkich szykach Gil Bas'a. Poczem obowiązki twoje się skończą. Gołda-Joanna przejdzie pod moją wyłączną opiekę, a ja trochę później oddam ją przed ołtarzem mężowi.

— Jąko? ta żydówka za mąż idzie?

— Naturalnie i bardzo dobrze. Jej narzeczony nie jest pourri de chic, ale jest to najmiłszy chłopiec, jakiego w życiu znalazłam.

Leon usta wydał.

— A ja? — zapytał.

— Pan jesteś także miłym i pocziwym człowiekiem, tylko... u narzeczonego Gołdy nic tej pocziwości nie pokrywa, a u pana doszukiwać się jej potrzeba.

— A więc, zgoda! rzecz ułożona. Idę w kumy i trzymam do chrztu pannę Gołdę. A dragées muszą być naturalnie, ma belle maraine...

Trzepotał się, jak ptak na uwięzi, podskakiwał znów, pakując monokl w oko.

— Mówi się chausser son binocle—wyrzekł wreszcie, sentencyonalnie mrużąc oko.

— Dla mnie to rzecz bez wagi — odparła Marya.

— C'est juste! mais vous êtes une femme supérieure!

Lecz ona już teraz nie zwracała uwagi, wpatrzona mimowoli w aleję, która się przed nią ciągnęła, białą od światła. Czarne postacie ludzi odcinały się na tem tle zimnem ostro, płaszcząc się wśród jasnej przestrzeni. Ku górze światło stawało się żółciejsze jakby czemś przypruszone, aż rozlewało się na białą masę sufitu, poprzecinanego gdzie niegdzie otwartą klapą wentylatora. Z boków za to były fale błękitnawo-białe, jakby refleks śniegu, który na daszkach po za szybami okien leżał. Fale te zalewały ściany namiotów, wpadając snopem do wnętrza sklepów, gdzie postacie kobiet migały gamą jasnych, barwnych strojów. W namiocie fotografa młoda jakaś panna, w szkockiej aksamitnej sukni, stanowiła jaskrawą plamę w powodzi barw spokojniejszych. W sklepie bielizny, na tle śnieżnych obłoków koronek zarysowały się szerokie plecy sprzedającej damy, odzianej w ciemny granat aksamitu.

Przed kioskiem, pełnym roślin, stała jakaś kobieta, odziana w wielki płaszcz z ciemno-zie-

lonego pluszu, podbity angorą. Białe futro mieszało się z liśćmi kamelii i bukietami azalii. Kobieta jedną ręką uchyliła połę płaszcza i w srebro kędziorów kładła wiązanki hyacenty, które kupowała, płacąc banknotami. Kwiaty ginęły w fałdach futra, jak w śniegu i, opadając ku ziemi, czepiały się włosów blado liliowemi i różowemi płatkami.

Od wejścia, w jasnym blamie światła posuwali się ciągle ludzie, mężczyźni w paltotach ciemnych, rozszerzających im potwornie ramiona, kobiety w dolmanikach, obciśniętych dokoła bioder. Wchodząc, zatrzymywali się przed tym lub owym kontuarem, tworząc grupy. Przez sam środek szedł teraz lokaj w długiej brązowej libery, niosąc na ręku płaszcz kobiecy, podbity atlasem w drobne różnokolorowe paski.

Dokoła panowała jakaś cenna cisza, przerywana szuraniem nóg po podłodze, lub przyciszonymi głosami rozmawiających. Z góry, razem ze światłem, płynęła nudna i lekka woń stęchlizny z zapyłonego muślinu firanek. Gdzeniegdzie bukiet, na kontuarze leżący, rzucał nagle cały snop woni, lub zaplątana pomiędzy gałęzie choiny doniczka hyacenty, pozostawiała za sobą smugę świeżego zapachu.

Przed kontuarem sklepu Maryi tworzyły się nie wielkie grupy. Przyglądano się towarowi i kupcowej. Ona spokojna, z uśmiechem na twarzy poddawała się tym oględzinom, nie czując

nerwowego niepokoju, wstrząsającego w tych wypadkach serce kobiety.

Okolo pierwszej sale opróżniły się nagle i teraz damy pouisały w głębi sklepów chmurne i zmęczone. Mężczyźni delegowani kręcili się dokoła bufetu, w którym nie zasiadły jeszcze aktorki. Subjekt z ufryzowaną głową podawał kieliszki koniaku. Płacono mu normalnie, bez naddatków. On blade-zielone oczy utkwit w zacieknięte śniegiem okno i zdawał się drzemać, stojąc. Obok ziewali chłopcy w białych fartuchach.

Od kilku chwil Marya niecierpliwie wyglądała ku wejściu. Oczekiwała dam, zasiadających z nią wspólnie; pragnęła uwolnić się choć na godzinę, pojechać do domu, uściskać Jerzusia, pobawić się z dzieckiem. Wreszcie pojawiły się. Matka, bardzo poważna osoba, w ciemnej jedwabnej sukni, krępa, niska, z niobami na uszy nisko opuszczonemi, za nią córka, małe stworzenie, w kostiumie z półsukienka *beige*, okładanego imitacją bobrów. Szła, utykając na zbyt wysokich obcasach, ściśnięta, chuda. Dość duże, wybladłe usta, pociągnięte miała silną dozą karminu. Dwie te purpurowe pręgi na tle bladej twarzy, siniejącej ku skroniom i w głębi oczodołów, robiły smutne wrażenie.

Widząc wchodzące kobiety, Marya powstała szybko z miejsca i porwała narzutkę z szynszyli.

— Dokąd? — zapytał Leon.

— Do domu — odrzekła wesoło.

— Ach, do pana Jerzego!

— Przedewszystkiem! Otóż i hrabina.

Panna już stała przy wejściu do sklepu, udając rozpromienioną i zupełnie szczęśliwą.

— Mameczko, spojrzij!... c'est féérique!

— Widzę, Musiu! en effet, nadzwyczajne!

Podaly sobie z Maryą ręce, obrzucając oczami chciwie jej kostium i narzutkę.

— Oh, vous êtes ravissante! — rzuciła wreszcie Musia.

I w przystępie naglej czułości, zaczęła ścisnąć młodą kobietę.

Matka tymczasem witała się z Leonem, i brała w posiadanie sklep, poruszając z miejsca każdy przedmiot, przeglądając się w lusterkach, otwierając bombonierki.

— Bonne chance! — rzuciła im Marya, odchodząc już od kontuaru.

Za nią poskoczył Leon.

— Idę!...

— Gdzież znowu, zostań pan przy tych paniach!

— Oh, Dieu!... une corvée...

Marya uśmiechnęła się pod woalką.

— Pour les pauvres! — wyrzekła łagodnym głosem.

Leon głowę skłonił.

— Zostaję. Mais c'est inoui, co pani ze mnie robisz? Ojca chrzestnego żydówki i cavaliera servanto hrabianki!

Oddalili się znacznie już od sklepu i szli teraz wzdłuż alei namiotów, przy których stali, oczekując na damy, panowie delegowani. Cokol-

wiek dalej, w dyskretnej odległości, majaczyły dziwaczne profile subjektów, wyznaczonych przez firmy sklepowe do dawania potrzebnych objaśnień.

U wnijsia Marya podała Leonowi rękę.

— Do widzenia!

— Jak najszybszego.

— Proszę o jedno... nie karotować!

— Nie obiecuję!

Zaśmieli się oboje, stojąc teraz w pełni światła, odbijającego z nagich ścian przedsonka.

— Niepoprawny.

Rozeszli się wreszcie, popychani przez szybko biegnących dwóch posłańców, którzy nieśli tace pełne cygar i papierosów do kiosku. Za nimi biegł zadyszany wice-prezes. Futro trzymał przewieszzone przez ramię.

— Bonjour! bonjour!

I biegł dalej, ocierając pot z czoła.

Wyszedłszy pod kolumnadę z teatru, Marya stanęła chwilę i jednym rzutem oka objęła plac, rozścielający się przed nią.

Skwer, spowity cały w biel śniegową, przeciętą tylko żółtymi drożynami usypanego piasku, czerniał koronką drzew bezlistnych i słupków ciemnych, przy których drżały słomą poobwijane krzaki. Na środku, zgnieciona bramowaniem śniegu, szarzała głucha fontanna, jak wielka olbrzymia czara, płaska i nad ziemią wzniesiona. Na tle szarawych murów ratusza odcinała się czysto i dokładnie, gubiąc się już u podstawy w masie śniegu, pomieszanego z grudą. Po za nią, jak wielki parawan, ręką tytana rozłożony,

pokropkowany ciemnymi plamami okien, cofnięty w tył fasadą, rozkładał się ratusz, obejmując plac cały szerokością swych skrzydeł. I tylko z linii dachów strzela w górę wieża, prosta, równa, zegarową tarczą, jak bielmem oka, błyskająca. Po lewej tryumfalnie rozścielała się linia ulicy Senatorskiej, biała, otwarta, szeroka, nakształt wielkiej drogi, wśród szerokich ścian domów, piętrzących się w jasnym skróceniu. Natomiast na prawo dalsze tej linii przedłużenie ciemne, wąskie, zagłębiało się wstydliwie wśród czerni ścian, pomiędzy którymi z wąskiej ulicy Daniłowiczowskiej wylewała się karawana sanek, dzwoniących uparcie zjedzonemi przez rdzę dzwonekami.

Dalej, po obu bokach placu wyciągały się w górę kamienice o brudnych, niepewnych tonach, przecięte tylko ciemnymi plamami szyldów, które śnieg przystrajał w białe frendzelki. I tylko pod ścianami tych domów migwały wciąż ciemne postacie przechodniów.

Po lewej, ku Senatorskiej i szeroko na rozstaj otwartej Bielańskiej, tłum coraz gęstszy płynął nieprzerwanemi falami. Szeroka, płaska pierś kamienicy narożnej, jak drogowskaz potworny, wznosiła ku górze swe niskie, krępe filarki. Z daleka czerniały tablice afiszów, dół tego drogowskazu oblepiające. Przy nich kupili się ludzie, ruch tamując, inni musieli schodzić w bok i zataczać koła.

Marya patrzyła przed siebie z zajęciem, rozbudzona nagle świeżem, zimnem powietrzem, które jej twarz owiało.

Z cukierni pod filarami wychodzili mężczyźni, dostatnio odziani, lub kobiety w krótkich zakietach futrem podbitych. Zatrzymywali się przy tablicy z afiszami, lub oglądali cacka, błyszczące w oknach sklepów. W magazynie bielizny ułożono cały tuzin kolorowych jedwabnych koszul, oszytych koronką. Całe to okno mieniło się delikatną gamą barw, jak pudełko, oblaných cukrem migdałów. Chusteczki cieniuchne, batystowe, delikatnie ułożone, przecinały bielą, jak płatki śniegu przejrzystą, jasne tony jedwabiu. Wysoko — na manekinie — sterczał peniuar damski, bladezielony, z którego deszcz wstążek ku dołowi się zwieszał.

Tymczasem na placu, zupełnie bladym, jak obrus świeżo rozłożony, cały rząd sanek i dorożek czerniał przeciętą gdzie niegdzie jasną maścią kadłuba końskiego, lub granatową liberyą woźnicy. Do białych wschodków Stępkowskiego podjeżdżały z brzękiem sanki, zataczając szerokie koła. Z gardzieli Wierzbowej ulicy wypadały ciągle ekwipaże lub dorożki, z charakterystycznym szarpnięciem się koni, w chwili wydostania się na jasną przestrzeń placu.

A tymczasem z góry płynęło wciąż jasne, spokojne światło dnia mroźnego promienia, przez biel śnieżną obłoków precedzone.

Marya skinęła na swoje sanki i w kilka sekund zagłębiła się już w ciasny wąwóz nlicy Wierzbowej, przy której nagle, jak olbrzymi gmach koszarowy, sterczał, budząc przerażenie, dom Krasińskiego.

I szybko, jak we śnie, mignęły teraz przed oczyma Maryi miniaturowe stery Saskiego placu, zasypanego całkowicie śniegiem.

Z brzękiem cichym i dyskretnym mknęły sanki wzdłuż przedłużenia ulicy Marszałkowskiej, obramowanej parkanami po prawej, domami wykoronkowanymi żelazem balkonów, po lewej. Po za temi parkanami, tonącymi szarą podstawą w puchu śnieżnym, rozciągał się wązki pas wsi, ciągle wśród miasta wyrastającej.

Duży, ciemny krzyż sterczał samotnie na rogu, pochylony trochę, w kwiaty sztuczne u podnóża spowity. Na środku drzewa migotała czerwona latarenka, w ołtarzyk wstawiona. Wysoko na wielkich ramionach krzyża bieliła się postać Chrystusa, z blachy wycięta. Na jednym z ramion krzyża usiadła wrona, czarna, smutna, skurczona. Dwie inne kracząc, porwały się nagle z pod parkanu i skrzydłami śnieg ze słupa telegraficznego zmiatały.

Do bramy domu konie już dopadły wyrzucając kopytami śnieg, który się na miał o siatkę rozbijał i przez szafirowe oczka przelatywał drobnymi grudkami.

Marya fartuch futrzany sama odpięła i z sanek wysiadła.

— Odpręż — wyrzekła do woźnicy, który, w sankach, stojąc, ku niej się zwrócił — pojedą około czwartej.

W bramę domu weszła i szybko po wschodach biedz zaczęła. Myśl jej cała przejęta była dzieckiem, które pozostawiła rano przy talerzu

dymiącej kaszki z poliszynalem, wciśniętym za oparcie fotelika. Co on teraz robi? czem się bawi? czy tęskni? czy o niej wspomina?

Ujmując rączkę dzwonka, uśmiechała się radośnie.

— Moje złoto! — wyszeptaly mimowoli jej usta.

Drzwi otwarły się szybko.

W półcieniu przedpokoju, oprócz sztywnej postaci lokaja, ujrzała Marya ciemną sylwetkę, dźwigającą się z trudnością z krzesła i opierającą się o ścianę.

— Kto to? — zapytała zdziwiona.

— Stary żyd z majątku jaśnie pana; chciał czekać koniecznie na jaśnie panią.

— Żyd?

Marya uczuła gorąco, przesywające jej serce.

Pewnie o Trejnę już teraz rozpocznie się walka.

Ciągle w pół cieniu zanurzony, żyd powoli głowę skłaniał.

— To ja... Szmul!

— A!

Szybko Marya drzwi od jadalni otworzyła.

— Wejdźmy tu; proszę ze mną!

Weszła szybko, niespokojna, zdenerwowana.

Za nią wszedł stary żyd, z czapką futrzaną w ręku i z rękawicami włóczkowymi, wiszącymi na sznurkach po obu stronach bioder.

Lokaj drzwi zamknął i, schyliwszy się do dziurki od klucza, podsłuchiwał.

Marya stała zmieszana, nie śmiejąc spojrzeć w oczy żydowi, który, pochylony, głową trząsł ze wzruszenia i żrenicami lez pełnemi po kątach wodził.

— Ja tu po wnuczkę przyjechał! — wyrzekł wreszcie zdławionym głosem.

Marya ramionami wzruszyła.

— U mnie nie ma — odparła, nie wiedząc prawie co mówi.

Żyd z kątów sali wzrok swój nagle w mówiącą utkwiał.

— I gdzie wy ją schowali? gdzie? niechaj to wiem chociaż.

Trząsł się cały, drgał, zapominał o pozornym szacunku, jaki zachowywał wobec siostrzenicy Elżbiety i córki ukochanego człowieka.

— Nie mogę wam powiedzieć — wyrzekła Marya—nie moja to tajemnica.

— Nie pani? nie jaśnie pani?—poprawił się szybko—a przecież tu przywiózł ją ten przekłety posesor Horecki, co bodaj jego oczy dnia sądu nie oglądały! Ona jeszcze głupia, ona jeszcze młoda, on ją obałamucił, odurzył, słodkości nagadał i tu przywłócił.

— Mylicie się; wnuczka wasza sama tego zażądała.

— Czego? Chrztu?... ona?... ta czy ona wie, co to jest wasze chrzczenie? Ot, chłop ją otumaniał, a ona głupia w przepaść poszła. Aj!... jakież to wstyd, jaki wstyd! aj... jakież to na mój włos siwy ból jest!...

Rękawami twarz zakrył i stał tak długą chwilę, oddychając ciężko.

— Żebym ją mógł choć zobaczyć — począł znów złamanym głosem — ja jej dziad!... Ny! ona by zrozumiała, co ona robi, i pewno by się do nas wróciła.

Marya szybko mu przerwała.

— Nie łudźcie się! wnuczka wasza do was nigdy nie wróci.

Szmul głowę hardo podniósł.

— Aj! gdyby my tylko chcieli.

— Nic poradzić nie możecie.

— W kajdany wy ją okuli? ha?

— Nie! wolna jest! lecz ona sama tego nie zechce.

Nastąpiła znów chwila milczenia, przerywana tylko cichym brzękiem sanek, wjeżdżających obecnie na dziedziniec. W kącie pokoju na paleczce wysoko siedząca, lupala ziarna świeżo kupiona papuga. Z kredensu dolatywał szczepek przygotowywanej do śniadania porcelany.

— Jaśnie pani—zaczął znów żyd, opierając się teraz obiema rękoma o stół — jaśnie pani mściwa jest!

Marya szeroko otworzyła oczy.

— Jaśnie pani mści się za ranę, co jej Jan-kiel nożem zadał tej złej nocy! Jaśnie pani dlatego córkę Jankła chce wychrzcić i staremu Szmulowi srom taki sprowadzić!... Za pchnięcie nożem, w serce Szmula sto pchnięć ja zadam, tak sobie jaśnie pani powiedziała.

Marya uśmiechnęła się smutnie.

— Mylisz się, Szmulu! nie mam żalu do Jankła; Bóg go osądzi! wnuczka wasza sama przygarnęła się ku mnie, dopomogłam jej! To wszystko. Zemsty w tem nie ma! nie!

Szmul patrzył na nią z pod brwi białych, nad oczyma ponuro ściągniętych.

— Oko za oko, ząb za ząb!—wycedził przez ściśnięte zęby.

— Nie ja! nie ja! — broniła się kobieta — wierzcie mi, proszę was!

Żyd potrząsł głową.

— Nie wierzę!

— To źle, skoro ja mówię—odparła Marya.

Chciała koniecznie, aby żyd był przekonany o prawdzie jej słów, szukała sposobu.

Po za drzwiami tymczasem w salonie rozległy się nagle drobne krocuki. Skoczyła do drzwi. W progu stał Jerzuś, w białej sukiennej odzieży, świeży, rumiany, doskonale odżywiony. Wśród wielkiej przestrzeni jasnego salonu wyglądał jak figurynka biskwitowa, świeżo z etażerki zbiegła, w swej białej, czystej, pluszem strojnej sukience.

Marya wyciągnęła rękę.

— Chodź, synku!

Malec ku niej poskoczył.

— Mamusia!

Rękę matki pochwycił i miłośnie do świeżych ust cisnął. Marya pochylała się, na ręce go dźwignęła, i z dzieckiem wtulonem w futro szynszyli, do Szmula się zwróciła.

— Na moje dziecko ci przysięgam, Szmulu, że przez zemstę nie działałam!

Lecz żyd był ciągle nieubłagany.

— Nie wierzę!

Słowo to, jak uderzenie bicia, smagało ucho Maryi.

— Dlaczego?

— Jaśnie pani nie kocha swego syna, skoro nie potrafi uszanować mojej dla wnuczki miłości.

Marya zrobiła gest niemocy.

— Ja w tem nic poradzić nie mogę. Trejne sama...

— O to idzie — przerwał żyd — ja wnuczkę moją chcę widzieć sam na własne oko i do niej przemówić. Niech ona sama rozsądzi! Niech ona sama wybiera. Jak się jaśnie pani boi, że bym ja jej co przeciw chrześcianom nie mówił, ja mówić nie będę. Ja tylko przed nią stanę i powiem jej w twarz samą: „Ty spójrz, Trejne, na głowę siwą!... ty klejnes Kind moje, spójrz... i powiedz... jak ty możesz na mnie jeszcze hańbę... jedną... rzucić?

Ręce drżące szeroko rozłożył, z ocz, czerwona obwiedzionych obwódka, lzy mu kapać zaczęły.

Maryi serce ścisnęło się boleśnie, stała niezdecydowana, wpatrzona w twarz starca, po której lzy płynęły swobodnie, długą, siwą brodę mocząc.

I nagle cichutki, srebrny głosik Jerzusia zadźwięczał w przestrzeni.

— Mamusi!... on biedny!

Paluszkciem na żyda wskazywał, otwierając szeroko oczęta. Widział lzy, słyszał głos błagalny, w maluchnem serduszku ozwał się zaraz głos współczucia.

Żyd w stronę dziecka ręce wyciągał.

— Proś ty, paniczku malutki, za mną! za biednym Szmułem!... Proś mamy! niech mi odda wnuczkę!... Proś, by kiedy i ona może nie potrzebowała tak żebrać u innych zmiłowania za tobą, jak ja za Trejną moją!... Proś!...

Dziecko maluchną rączkę wyciągnęło ku matce.

— Daj! daj!—prosiło dłonią potrząsając.

— Proś!—jęczał żyd.

— Daj!—powtórzył chłopczyk.

Głosik dziecka mieszał się z hargotaniem starca. Jerzuś miał łezki w oczach, jakby odbicie łez, płynących z zaczerwienionych oczu żyda.

Marya nie wahała się więcej.

— Stanie się, jak chcecie!—wyrzekła wzruszonym głosem.—Jutro, o tej samej godzinie, zawiozę was do Trejny. Pomówicie z nią: jeśli wrócić zechce, niech wraca!...

W kilka godzin później, za kontuarem sklepu, w blasku gazu cała skąpana, stała Marya uśmiechnięta, jakkolwiek jeszcze silnie sceną poranną ze Szmułem zdenerwowana. Tłum teraz napływał coraz większy, tłocząc się w ciasnych przejściach, zatrzymując przed sklepami, kupując ze śmiechem rozmaite przedmioty. Z góry ply-

nęły ostre, hulaśliwe dźwięki orkiestry, w której dominowały instrumenty dęte. Wzdłuż filarów paliły się gazy w mlecznych kloszach, jak grono białych porzeczek, a od sufitu zwisały się kryształowe pająki, w których trójkątach migotały krwawe refleksy. Pod tem surowem światłem gazu, sklepy zacierały się trochę, jakby przyćmione przezroczystym pyłem i tylko z po za kontuarów migaly wypudrowane twarze kobiet. Po za niemi, na tle muślinu lub dywanów przyczepiono lustra, które odbijały teraz karki kobiet, karki, na których drżały drobne loczki czarnych lub złotych włosów. I całe masy towarów porzuconych na kontuarach tworzyły tu nagle jakby jakiś kąt ulicy, elegancki fragment jakiegoś bulwaru paryskiego, na którym etalaze sklepowe wypływają na trotuar falą porcelany lub kaskadą kolorowych tkanin. Stuk drobnej monety, brzęk portebonheurów, szelest papierków, zawrotne tony polki, cała fala uśmiechów, płynęły teraz tryumfalnie z ciasnych ram muślinu. Tłum wbiegał masą zbitą od wejścia, okrążał salę, kiosk i znikał w brudnej głębi bufetu, ustępując miejsca nowo nadpływającej fali.

Ze sklepu zabawek dziecinnych slychać było suchy łoskot kastanietów, ktoś uderzał w tamburyno dla zwabienia kupujących. Lusterka oryentalne Maryi rozchodziły się szybko, migając srebrnym, urywanym blaskiem w rękach kupujących. W tłum czarny nagle zwrócone szkło rzucało światło matowe, niepochwytnie, bielące się jak srebrne koła na ciemnym tle ubrań ludzi. I zda-

wało się wtedy, że dokoła namiotu spadł cały rój gwiazd świetlnych, i gasł powoli w osłonkach różowej lub błękitnej bibuły.

Tymczasem hrabianka, cała rumiana pod wpływem gorąca i ludzkich spojrzeń, klęcząc na krzesle, aby lepiej być widzianą wśród tłumu, usiłowała znaleźć amatora na maluchnego pastuszka z saskiej porcelany, którego przyniosła delikatnie w muflce, obwiniętego w libkę jedwabnego papieru. Nabywcy jednak nie było, pomimo usilnych starań dziewczyny i jej „pour les pauvres!”—rzucanych cienkim głosikiem. Obok niej Marya, ożywiona silną chęcią jaknajwiększego zbioru, starając się zapomnieć o troskach swych serdecznych, trafiała w rzeczywisty ton damy patronessy i całemi masami zbywała swe drobne graciki, które Leon gorączkowo zawijał w przygotowane już arkusze papieru. Sąsiedni sklep lamp gorzał teraz cały w jaskrawem oświetleniu mnóstwa rozpalonych płomieni. Namiot z fotografiami, obleżony przez tłum, tamował przejście, wabiąc ku sobie czarną głębią poustawianych na półkach portretów. W ciemni tej, jak zjawisko, zarysowywała się młoda kobieta w bieli, o jasnych włosach i bladej, matowej twarzyczce. Obok niej, w obramowaniu jaskrawych waz japońskich, *potichów*, magotów potwornych brązowych, o złotych, fałszywych polyskach, delikatnych, jak z cuku, figurek z Tanagry wybornie naśladowanych fajansów wydętych, zielonych jak malachit, lub fijołkowych jak ametysty, lamp bizantyjskich, w których drżały rubinowe światelka, porte-bou-

quets weneckich o topazowych koronkowych ściankach lub żardinerek japońskich, z których palmy wykwitwały jak parasole, pełna wdzięku brunetka, spowita w draperyę pluszu złoto-zielonego, strojnego szerokim haftem srebrnym, pociągała ku sobie oczy tłumu.

I wszędzie, wszędzie, jak kwiaty wyrastały kobiety, strojne, woniejące, okazujące się, jak indyjskie bóstwa w skrótach, wyciągające ramiona, z których z brzękiem zsuwają się złote bransoletki, jak naramienniki kapłanek ofiarniczek rzymskich lub greckich. Tłum szary, nagle z śniegu i zawiei w to morze światła i woni wrzucony, płynie wzdłuż sklepów, popychany, potrącany, przygnieciony tryumfem piękna, które w oczy mu się narzuca. Z tych ciasnych klutek sklepowych, w których, jak z po za kratki więziennych, lub ram obrazów, migają postacie kobiece, wieje jakaś woń muguetu, santal'u, białej róży, schory caprice'u. Kobieta tu dominuje, króluje wszechwładnie. Mężczyźni przed kontuarami mrużą oczy, podają banknoty, tłuką japońszczyznę. To nic! ubodzy na tem zyskają. Jakaś weselość gorączkowa płynie z ciasnego wąwozu, w który ten jarmark wtłoczono.

Z bufetu dochodzi gwar coraz silniejszy. Tłum pozostawia już teraz futra i palta w kontramarkarni i tłoczy się ciągle, jakby niepewny, olśniony, wahający się u progu.

Tymczasem z góry płyną teraz melodye cperetkowe, powiązane zręcznie w jedną całość, i na tle ballady „Nitouche” sprzedaje wreszcie

hrabianka swego pastuszka z saskiej porcelany. Finał „Fatinicy” zdaje się być apoteozą brunetki, otoczonej magotami i weneckimi wazonami, a duet z „Bettiny” sentymentalnie owija srebrną nicią białą postać kupcowej fotografii. Każda z nich ma część swoją, melodyę, która akompaniuje jej uśmiechowi, spojrzeniom oczu, tak, jak każda z nich ma swoje ulubione perfumy i sposób podciągania rękawiczek.

— Pour les pauvres! messieurs!... pour les pauvres!

XII.

— Nie chcę! nie pójdę! żebyście mnie zabili! nie pójdę.

I całą siłą korpusu w tył na wysuniętych nogach osadzonego, Trejne opierała się usiłowanom siostry furtyanki i siostry asystentki, które też z całej siły popychały ją w stronę ciemnego przejścia, nazwanego „kratą”.

— Puszczajcie!... Nie chcę! nie chcę!—krzyczała żydówka.

— Ależ to twój ojciec!

— Niechaj go! nie chcę go widzieć!

— Musisz!... Powiedzą, że cię więzimy, gwałtem trzymamy w klasztorze! Zlituj się!... moja dzieweczko!...

Lecz Trejne była niewzruszona.

— Żebym się miała rękami muru czepiać, nie pójdę!...

Zakonnice spojrzwały po sobie zniechęcone.

Co czynić?

Matka przełożona przed kwadransem zadzwoniła i kazała natychmiast do „szlacheckiej”

kraty przyprowadzić Trejnę. Nie dodała nic, ale siostra furtyanka wpuściła przed chwilą do parlatorium Maryę i siwego starca w długim chałacie. Siostra furtyanka była przekonana, że to ojciec Trejny. Mój Boże... od lat tylu otwiera furte, i tylu siwych żydów drżących, z oczyma krwią nabiegłymi, widziała w parlatorium. Dziwiła się nawet, że do tej chwili nikt z rodziny Trejny się nie zgłosił. To też, usłyszawszy rozkaz matki przełożonej, pędem strzały przebiegła kurytarze i wpadła do szatni, gdzie Trejne, wraz z Franusią, zajęta była przewieszaniem habitów.

— Joasiu, do kraty!

Trejne odwróciła się niechętnie.

Nie lubiła schodzić do kraty. Zastawała tam tylko Maryę, która zamieniała z nią kilka słów obojętnych, napróżno siłąc się nadać swemu głosowi ton cieplej serdeczności. Stały zawsze zakłopotane, mając przed sobą podwójny cień kraty i czując jakąś lodową zaporę niechęci rasowej, wznoszącą się pomiędzy nimi.

W początkach oczy Trejny zdawały się szukać jeszcze kogoś po za Maryą, jakby nagle z po za pleców młodej kobiety miała się wynurzyć inna postać, niepokojem serce żydówki wypełniająca.

Marya, wzrok ten schwyciwszy, instynktem kobiecym wiedziona, zapytała:

— Czy jeszcze pragniesz zobaczyć kogo?

Trejne uśmiechnęła się z przymusem.

— Nie!

— Ależ tak! widzę, że oczyma szukasz kogoś po za mną?

Trejne oczy w dół spuściła i stała, usta do krwi gryząc.

— Ach!—ciągnęła dalej Marya—jestem dziwnie niedomyślna. Chodzi ci pewnie o pana Antoniego. Pragnęłabyś go widzieć. To bardzo naturalne! Twój narzeczony!

Trejne brwi ściągnęła i stała ciągle, w dół kraty wpatrzona, jakby nie śmiejąc spojrzeć prosto w oczy tej szczerzej kobiecie, która z drugiej strony kraty, w czystym świetle skąpiana, wywoływała przed umysł żydówki wspomnienie człowieka, tak silnie do niej przywiązanego.

— Pan Antoni przyjechać teraz nie może. Zobaczysz go dopiero na wiosnę, w dniu chrztu, w dniu tak dla ciebie radosnym. Powiedz, Trejne, musisz czuć się bardzo szczęśliwą, że dzień ten się zbliża?... Cieszysz się?

Usta żydówki poruszyły się lekko, z pod przymkniętych powiek zamigotały płowe źrenice.

— Cieszę się!...—szepnęła.

Lecz w głosie dziewczyny nie było wielkiej, naiwnej szczerości. Coś tłumionego brzmiało w tych słowach, jakaś radość zmysłowa, rozigrana, na którą siłą woli żydówka nałożyła pęta konwenansu.

Marya uczuła to odrazu i, dziwnie zmieszana, powstała ze swego krzesła.

— Do widzenia, Trejne. Czy nic ci nie brakuje?

Trejne zawahała się chwilę.

— Nic!

— Widzę, że znów nie jesteś szczerą. Powiedz! jeśli twe żądanie będzie rozsądne, wypełnię je.

Żydówka łamała palce z widocznym zakłopotaniem.

— Powiedz!

— Ja...

— No! ośmiel się, powiedz pierwsze słowo, ja ci dopomogę!

— Ja... chciałabym!...

— No! o cóż chodzi? Chcesz mieć nowe buciki?... Może różaniec, może jaki obrazek, może ci list do kogo napisać?...

— Nie!... Lusterko!

Cała oblana pąsem, głowę na piersi spuściła.

— Ach! lusterko!... Chcesz lusterka?

— Tak — wyszeptwała dziewczyna. — Tu ani szybki nawet znaleźć nie można. Nu, ja pomyślała, co jaśnie pani Trejnie nie odmówi! Małe, małe lusterko!

Marya ramionami wzruszyła.

— Napróżno mnie o to prosisz, moje dziecko! Matka przełożona nie pozwoli!

Trejne błysnęła zębami.

— Ja... schowam.

— I kłamać będziesz? Przed chrztem?... O, Trejne!

Lecz dziewczyna nie dawała za wygraną. Nerwowo czepiała się kraty.

— Ni się zaczesać — zaczęła płaczkliwym głosem, — ni stanu zaszpilić. Już się w oknach przejrzeć chciałam, albo w wiadrze wody, ale to wszystko na nic!...

Marya skierowała się ku drzwiom.

— Żle się przygotowujesz do chrztu, Trejne! Myślisz wciąż o sobie i o swojej urodzie. Teraz jednak powinnaś myśleć o tem, czego cię siostry uczą.

Żydówka do kraty się przylepiła.

— Ja myślę! znam, co one odemnie chcą! Umieję i Przykazania, i Ojczy nasz, i Sakramenta!... Ale zerkało kup, jaśnie pani!... Kup, klej-nienkie, jak kopiejka!...

Rozzuchwalała się coraz bardziej, porzucając zwykle swoje uparte milczenie.

Maryę ogarnął wstręt do tej dziewczyny.

— Nie kupię!—odparła, drzwi zamykając.

Trejne, pozostawszy sama, zagięła krogulczo palce, wplecione w kraty i gibkimi ciałem zwinęła się jak jaszczurka.

— Szczejnij!—syknęła za Maryą przez zaciśnięte zęby.

W tej chwili z najwyższą niechęcią schodziła do kraty i dlatego leniwie odwróciła głowę na wołanie siostry furtyanki:

— Joasiu! do kraty!...

Widząc, że dziewczyna się nie śpieszy, do-dała w formie zachęty:

— Przyszła twoja pani i twój ojciec!

Jak uderzenie piorunu te słowa podziały na dziewczynę. Zbladła i oczy szeroko rozwarte utkwiała w mówiącą.

— Tatele?—wyjąkała drżącymi ustami.

— Tak.

— Tatele nie przyjdzie, tate w turmie!

— Siwy, wysoki, ma długą, po pas, brodę.

Trejne nagle rozwarła szeroko usta. Zrozumiała, że to sam dziadek, sam Szmul przyjechał po nią, i że to przed nim, przed tą powagą rodziny, stanąć ma za chwilę ona—ona prawie już wychrzcianka, u gojów na komornem będąca.

Siostra furtyanka dotknęła lekko jej ramienia.

— Chodź!

Lecz z piersi Trejny wybiegł chrapliwy dźwięk:

— Nie pójdę!

I całą siłą oparła się zjednoczonym usiłowaniam furtyanki i asystentki, które zdołały ją wprowadzić z szatni wyprowadzić na korytarz, lecz dalej, pomimo wysiłków, posunąć jej nie mogły.

— Co począć? — pytały się wzrokiem, stojąc zrozpaczone przed dziewczyną, opartą silnie plecami o ścianę, tuż pod obrazem Joanny de Chantal.

Nagle w bieli korytarza zamajaczyła ciemna pochyłona postać. Zakonnice odetchnęły.

To siostra Déposée! Teraz są już pewne zwycięstwa.

Siostra Déposée szybko, jakby na kółczkach ukrytych pod habitem, biegła w stronę kraty. Ręce ukryła w rękawy habitu, pobladła cała od chłodu, który z murów kurytarza szeroką strugą spływał.

— Cóż to?—zapytała, zatrzymując się przed Trejną.

— Joasia do kraty iść nie chce.

— Nie chce? dlaczego?

I już jasny, przenikliwy wzrok zakonnicy badał pobladłą twarz żydówki, która kurczyła się nerwowo, czując, że siły ją opuszczają.

— Boi się!

— Czego?

W głosie siostry Déposée było tyle spokoju, chłodu i pewności siebie, że w łopoczące się serce Trejny zaczął wstępować cień uspokojenia.

Biała ręka dygnitarki wyciągnęła się w stronę zakonnic.

— Odstąpcie, wasze miłości!

Obie usunęły się na stronę, chyląc głowy z oznakami uszanowania.

— Spójrz mi w oczy, Joasiu!

Z pod rzęs przymkniętych, magnetycznie pociągane, czarne źrenice żydówki błyszczały w kierunku jasnych oczu Déposée.

— A teraz, chodź za mną!

I poszła naprzód, nie oglądając się nawet po za siebie, pewna swej władzy, jaką przygniatała i łamała najsilniejsze nawet wole.

Za nią, powoli, z głową na piersi spuszczołą, postępowała Trejne.

Gdy weszły do kraty, matka-przełożona powstała ze skórzanego fotela.

— Joasiu! oto twój dziadek! przywitaj go, moje dziecko!

Z przeciwnej strony kraty, od wapnem wybielonej ściany dźwignęła się olbrzymia postać starca i postąpiła nagle w przestrzeni, wypełnionej szarem światłem zimowego ranka.

Trejne wcisnąć się chciała w sam kąt izby, lecz siostra Déposée ujęła ją za rękę.

— Przystąp, dziewczeczko, bliżej; pozdrów twego dziadunia.

Trejne zamknęła oczy, nie mogąc przenieść na sobie spojrzenia w twarz dziadka, którego obecność czuła o kilka kroków, po za kwadratami jasnemi kraty.

— Trejne! — zaczął powoli, urywanym głosem starzec, wyciągając drżące ręce. — Trejne! kim mit mir!

Siostra Déposée pod opuszczonym welonem poruszyła się szybko.

— Proszę pana mówić po polsku; wierzymy, iż pan nic nie powie Joasi, co by nie mogło być przez nas słyszane, lecz taki już jest u nas zwyczaj; mówi się przy kracie językiem przez wszystkich zrozumianym.

Żyd oczyma łez pełnemi spojrział na stojącą na uboczu Maryę.

— Ja nic złego nie powiem!

— Jeśli taki zwyczaj!... — odparła młoda kobieta, silnie tą sceną wzruszona.

— Dobrze! skoro panie zakonnice tak nakazują, ja posłucham—zaczął znów Szmul; i drżącą ręką rozgniółszy lzy, wiszące na siwych rzęsach, podsunął się jeszcze bliżej do kraty.

— Trejne! czy ty rozum straciła, że ty nas w taki wstyd zapchała? Trejne! ty chcesz się wiary swojej wyrzec? Po co? na co? Żle ci w niej było? dolegało ci co? Dlaczego ty koniecznie chrześcianką chcesz być? Powiedz?... niech wiem, co tobie trza, że ty wiarę swoją, wiarę familii swojej ciskasz precz, ta chrztu się domagasz?

Pomimo usiłowań, jakie czynił, aby opanować swój gniew, głos mu drżał i nabrzmiewał chwilami silniejszymi tony.

Trejne, pomiędzy dwiema zakonnicami, jak w czarne ramy ujęta, stała wciąż z oczyma zamkniętymi, z ustami boleśnie zakrzywionymi, zlodowaciała z przestachu, bynajmniej niewzruszona.

— Aj!... aj!... ty zawsze Trejne była, jak to szczenię nieposłuszna, co precz z gniazda wybieży! Aj, Trejne!... ty jeszcze malusienka była niepocziwa i pierś matki, zamiast ssać, gryzła! Tołbe nieraz gadała, co z ciebie pociechy familii nie będzie, i nie pociecha, ale wstyd! hańba! hańba na mój włos siwy! na starość moją przekleństwo... aj!... aj!

Za siwą brodę się chwycił i targać się zaczął.

Zakonnice milczały, stojąc nieporuszone, jak dwie statuy, z czarnego marmuru wykute.

— I żeby ty była kiedy w tym lesie zamarła — mówił znów żyd, a głos jego dziwnie rozlegał się wśród białych i pustych ścian izby,—w tym lesie, co ty w nim żyła nocami i dniami. Męża ty chciała? męża? po co ty między chrześcianami go szukała? Jaby ci był męża znalazł, jakby już czas przyszedł!... A tak co? nam hańba, tobie przekleństwo! ty, ladaszczyco!!

Ostatnie słowo cisnął nagle, gwałtownie przez zaciśnięte spróchniałe resztki zębów.

Jak uderzenie szpicruty spadło ono w ciszę tej kraty, o którą nigdy jeszcze się nie obito podobne zuchwalstwo.

— Ladaszczyco!—powtórzył raz jeszcze, pas swój targając.

Siostra Déposée podniosła po chwili głowę.

— Zechciej pan się uspokoić, proszę — wyrzekła łagodnym głosem.

Lecz Szmul nie był panem swego wzruszenia.

— Uspokoić? uspokoić?—zapytał ironicznie, potrząsając głową — jak ja się mam uspokoić, kiedy widzę swoją krew na zakale idącą?... Może wasz Bóg da ojcu rodziny spokój, kiedy mu wyrwą z pod skrzydła jedno pisklę i pod nóż oddadzą...

— Nikt Joasi z pod pana skrzydła nie wyrwał, przysła tu sama.

Żyd za głowę się złapał.

— Aj! aj! sama? a jej miłośnik? ha?

Siostra Déposée głowę znów na piersi opuściła.

— Nie wiemy o tem, to do nas nie należy. Dziewczę zostało nam oddane, weszło bez gwałtu, dobrowolnie. W każdej chwili, jeśli zechce, wyjść może.

Żyd prawie do samej kraty się rzucił.

— Otwórzcie te kraty! puśćcie mnie do niej, ona ze mną pójdzie, ona moja wnuka! Klajneskind! ja wam ją wydrę!...

Uczepił się kraty, od której cofnęły się zakonnice i Trejne.

— Słyszysz! słyszysz! Trejne! pójdź do nas! do karczmy! do matki, do braci!... czy ty nie masz nic w piersiach dla nas?... nyl... Ty, pomyśl... ty już nigdy do sabatu nie zasiądziesz! nigdy świętych świec zapalonych nie ujrzysz? Co oni ci dadzą? co oni ci za to dadzą? zapytaj ich! czy oni szabas mają? czy my nie byli pierwsi i Bogu zawsze najmiłsi z naszym wierzaniem? z naszymi księgami? Co oni warcil! te goimy!

Siostra Déposée podniosła znów swą twarz bladą.

— Uspokój się pan! — powtórzyła — jesteś w domu, poświęconym Bogu!

— Ja znam jeden dom Bogu poświęcony — bożnicę! — odparł Żyd.

— Nie nachodzimy waszej świątyni, aby w niej obelgi wam ciskać!

— Gorzej robicie! dzieci nasze nam zabieracie!

— Same do nas przychodzą!

Żyd zamilkł, tylko oczy krwią nabiegłe w bladą twarz zakonnicy utkwiał.

— Same przychodzą!...—powtórzył po chwili.

Z po za okna, wychodzącego na dziedziniec klasztorny i opatrzonego gęstą kratą, płynęło poszarpane światło i bezustanne gdakanie kur. Czasem zaryczała krowa lub dał się słyszeć głos siostry domowej drób zwolującej.

Maryja stała wciąż na boku, wpatrzona w ciemne sylwetki sióstr, przylepionych do ściany, i w czarną głowę Trejny, wciśniętą w ramiona dziewczyny.

Żyd milczał długą chwilę, oddychając ciężko.

— Trejne! — zaczął znowu wzburzonym głosem — idziesz ze mną?

Trejne milczała.

Siostra Déposée pochyliła się w stronę dziewczyny.

— Jeśli chcesz, dziewczynko, powiedz jedno słowo, a otworzymy ci furte. Chcesz iść z dziadkiem?

Pierś Trejny podnosiła się i opadała szybko.

— Trejne! — ciągnął znów Szmul, czepiając się kraty — ja ciebie proszę! wróć ty się do nas!... wroć!...

Znać było już ostatni wysilek, jaki czynił Szmul w nagięciu głosu do brzmienia pokornej prośby. Palce jego, długie, kościste, okryte sfałdowaną skórą, w kratę się wpiły. Wachlarz

brody drgał mu konwulsyjnie, na czarnym suknie chałatu się znacząc.

— Trejne!... pójdz „dzieciatko”!...

Po drugiej stronie kraty nieruchome, czarne, jak dwie żalobne westalki u wrót świątyni, stały zakonnice, milczeniem swoim zaznaczając neutralność w tej walce dwóch sił, starej i młodej krwi, która kłębiła się szalonym prądem w żyłach obojga semitów.

Na wargach Trejny wystąpiły dwie purpurowe krople. Ostre zęby dziewczyny wpiły się w ciało, krwawiąc je w zaciętym uporze.

Po czole Szmula spadał teraz pot obfitemi kroplami.

— Trejne... pójdz ty ze mną!...—załkał jeszcze po raz ostatni starzec, wpatrzony zakrwawionymi źrenicami w spuszczoną głowę wnuczki.

Nastąpiło glucho milczenie, ciężkie i uderzenie gromu zwiastujące.

Szum wyprostował się nagle i chwilę oczy mrużył jakby pod natłokiem myśli. Wreszcie ręce od krat oderwał i w górę je podniósł.

— No, to ostań!...—wymówił urywanym głosem—aj!... aj!... ostań ty im na zgubę! Nie chcesz ty żydówką już być, ale i chrześcianką ty nie będziesz!... Ty zatracona...

Marya szybko ku Szmulowi podeszła.

— Panie Szmul!... proszę!...

Lecz on usunął ją na bok i, wyciągnawszy drżącą rękę w stronę kraty, dalej wołał:

— Ty chrztu żądasz? po co tobie chrzest? Ty przez niego chcesz sobie posesora z Horki

na męża złapać. Ale ja wam uścielę małżeńskie łoże—z ognia!... slysz!... z ognia!

Olbrzymiał teraz, rósł, cały we wściekłości się pławiąc, z pianą na ustach. Lecz siostra Déposée podniosła z kolei głowę i bladą swą twarzą w półcieniu błysnęła.

— Proszę być ciszej! — wyrzekła niskim, spokojnym głosem — Joasia trwogi niema przed taką groźbą. Bóg nad nią czuwał!

Żyd szeroko bezzębe usta otworzył.

— Nikomu tu ona szczęścia nie przyniesie, tylko jak duch zły za sobą nieszczęście pociągnie.

Marya uczuła nagle jakby pchnięcie sztyletu w serce.

— Jak duch zły, nieszczęście za sobą pociągnie!

Mimowoli przerażona oczy utkwiała w Szmula, lecz on już do drzwi zmierzał i, jęcząc przeraźliwie, znikł w ciemnej głębi pierwszego parlatorium.

Chwilę jeszcze słyhać było jego ciężkie kroki, rozlegające się wśród pustki wilgotnej, głos charczący, jękliwy, zawodzący.

I nagle ciężkie wrota furty zapadły z trzaskiem i nastąpiło zupełne milczenie.

Wówczas siostra Déposée położyła swą bladą rękę na ramieniu Trejny.

— Chodź, Joasiu, do kaplicy Matki Bożej; ofiarujemy jej te ciężkie zmartwienia!

Lecz Trejne nie miała w swych ciemnych źrenicach ani śladu bólesci. Cała jej twarz przekorna i ze złości poblądła miała na sobie raczej

piętno silnego wzburzenia, pomieszanego z tchórzliwym niepokojem.

.....

Gdy Marya wieczorem dnia tego powróciła z sal reutowych, pomimo dość znacznej kwoty zebranej za drobiazgi i dowcipnego szczebiotu Leona, który jej towarzyszył, chmurna była i milcząca.

Wśród migotliwych blasków gazu, dźwięków orkiestry i głosów ludzkich, bezustannie przed oczyma wrażliwej kobiety czerniała olbrzymia postać Szmula, wyciągniętą prawicą zakreślająca w przestrzeni ciemne kręgi. W dźwięku spadających do koszyczka pieniędzy słyszała głos jego boleścią brzącający, gdy wśród białych murów parlatoryum z jękiem wołał.

— Pójdź, Trejne! pójdź!

Leon śledził uważnie Maryę i, zawijając paczki, usługując kupującym, odpowiadając na flirtowanie miluchnej hrabianki, znalazł jeszcze czas, aby rzucić młodej kobiecie zapytanie:

— Zkąd pani wracasz z taką pogrzebową twarzą?

Marya zmarszczyła brwi mimowolnie.

— Och! z pogrzebową!... zawsze pan przesadzasz — odparła.

— Mais si! si! twarz pani jest toute faite, aby suivre un convoi. Czy pogrzebałaś pani kogo?

— Nie ja!... widziałam tylko czyjeś łzy gorące, gorętsze chyba od tych, które się nad trumną wylewa!

— Tiens!... tiens!... to lzy takie jeszcze chodzą po świecie?

Marya spojrziała na wiewiórczą twarz młodego człowieka.

— Co za dziwna chęć przedstawienia się gorszym, niż się jest w istocie! — wyrzekła z pewnym zniecierpliwieniem.

Leon ramionami wzruszył.

— Co pani chcesz! masz do czynienia z niewiernym Tomaszem. Nie uwierzę, aż ujrzę!

— Wiwsekcyja?

— Prawie...

— Szkoda!... gdybym wiedziała..

— To co?

— Dostarczyłabym panu widoku lez gorących.

— Chciałem pani towarzyszyć, lecz mówiłaś, że jedziesz do klasztoru!

— I pojechałam.

— Tiens! tiens! więc to w tym przybytku spokoju płaczą tak gorzko? Któż taki? Czy moja przyszła córka chrzestna rozpacza tak ciężko?

— Nie.

— Któż więc?

Marya zawałała się.

— Hrabianka pana wzywa! — wyrzekła narzecznie.

Nie chciała roztaczać obrazu boleści zrozpaczonego starca przed oczyma tego sceptyka, i to jeszcze przy dźwiękach orkiestry, rzucającej całe snopy zawrotnych dźwięków w jasno oświetloną przestrzeń. Lecz Leon, przeciskając się ku hrabiance, szepnął jej prawie tuż nad uchem:

— Sądziysz mnie pani niegodnym prostej odpowiedzi. To źle. Wiesz sama! pozory często mylą...

Młoda kobieta powiodła za nim wzrokiem.

Miał słuszność. Pozory często mylą! Ona sama w życiu swoim doszła już do tego przekonania.

Lecz z tłumu czerniącego się zbitą masą przed kontuarem sklepu, wyłonił się nagle Stanio, z uprzejmym uśmiechem witający żonę.

— Bonjour! Bonjour!...—oczy mrużył, piękny, elegancki w swem futrze, odrzuconem z fantazyą z szeroko rozrośniętych ramion.

— Jakże idzie?

— Doskonale!

Dyskretnie położył tęczowy papierek w kieszonku hrabianki.

— Oh!... monsieur, décidément vous êtes magnifique!...

Leon ironicznie z po za kontuaru na przyjaciela spoglądał.

Stanio wzrok ten pochwycił.

— Tiens! te voila obok maitre d'autel! Nie ma tam dla mnie małego kącika?

— Si!—odparł Leon—les gugusses trouvent toujours une petite place!

Stanio ramionami wzruszył.

— Vieux farceur!

Spojrzeli sobie w oczy i parsknęli śmiechem. Z czego? — sami nie wiedzieli.

Marya patrzyła przygasłym wzrokiem na męża.

Odcinał się teraz dokładnie w przestrzeni, bo tłum zwabiony „koszami szczęścia”, pobiegł w inną stronę. Jasne światło gazu zdradziecko oświetlało jego czaszkę, pokrytą rzadkimi, ostro przyciętymi włosami. W świetle tem wydawał się już prawie łysy. Owal twarzy wydłużył mu się, zaznaczając silnie dolną szczękę.

Dokoła oczu drgała drobna siatka zmarszczek, wąsy miały jakiś odcień matowy. Z ram kołnierzyka wychylała się szyja chuda i przecięta żyłami. Na skroniach perlily się kropelki potu.

Młoda kobieta, cała w rozkwicie zdrowia i wdzięków, badała ze ściśniętem sercem ślady wyniszczenia męża, który objawił się jej nagle w jasnym świetle gazu nędzny, żółkły i zmęczony.

Przymknęła oczy, aby go nie widzieć.

Lecz on szybko wcisnął się po za kontuar sklepu i stanął tuż przy niej.

— Je vous aiderai! — wyrzekł z galanterią.

Ona skinęła głową, usuwając się mimowoli w róg sklepu.

— On etouffe ici! — wyrzekł Stanio, zsuwając z ramion futro.

Kupujący zaczęli pojawiać się znowu.

Stanio z elegancją i dowcipem czynił honory sklepu; Leon usunął się teraz w cień i, usiadłszy w głębi, przenikliwym wzrokiem śledził poruszenia Maryi.

Ona wzrok ten czuła na sobie i, coraz więcej rozdrażniona, usiłowała panować nad sobą.

Oddawna nie czuła tak blisko obecności Stania przy sobie. Ciasnota sklepu rzuciła ją prawie w jego objęcia. Odwyklszy od podobnego zbliżenia, cofała się gorączkowo, zmieszana, niezręczna, tracąc zwykły spokój i panowanie nad sobą.

On tymczasem powoli zaczynał odczuwać także bliskość tej kobiety, która się tak wspaniale rozwinęła tuż obok niego, a on nie widział nawet, że gąsienica zmieniała się w motyla. I, nie tracąc ani na chwilę swobody, z jaką obsługiwał kupującym, pochylać się zaczął ku żonie.

— Pozwól, ja cię wyręczę!

Odbierał z drżących jej rąk cięższe paczki, zgarniał z jej dłoni drobną monetę.

Czynił to wszystko z wyrachowaniem światowca, który zna na pamięć wszystkie dozwolone przez konwenanse zbliżenia rąk pod niewinnym pozorem...

— Tiens! tiens! elle n'est pas mal! — myślał, obserwując z pod oka całą postać uroczą Maryi. — Elle est même bien! — powtórzył, zawijając w różową bibulę małego brązowego japończyka, wskazującego na tarczę miedzianą pałeczką.

Nagle uczuł nawet przedsmak zazdrości. Co robi tu w sklepie Leon, zainstalowany tak wygodnie obok jego żony? Czy i on obserwuje białość jej szyi i cien kręconych włosów?

Obejrzał się po za siebie i spotkał wzrok Leona, uparcie w Maryę wlepiony.

Młody człowiek siedział na pace, z rękoma, francuskim obyczajem, w kieszeniach umieszco-

nemi, odcinając się bladą plamą twarzy na tle czerwonych pótek, na których zaledwie kilka lusterek wschodnich migotało, jak srebrne motyle.

Stanio brwi zmarszczył.

— Leonie!

Młody człowiek, powoli, jakby z zalem, oczy od kobiety oderwał i przeniósł je na jej męża.

— Tu as besoin de moi?

— Non! non! zostań na miejscu! — wyrzekł pośpiesznie Stanio, jakoby obawiając się wciśnięcia Leona pomiędzy nich, do brzegów kontuaru.

Leon ramionami wzruszył.

Ten Stanio miewa czasem napady bzika. Teraz woła go, niewiedomo po co! i to właśnie w chwili, kiedy on zajęty był śledzeniem wysiłków Maryi, jakie czyni dla oddalenia się od bezpośredniego zetknięcia z mężem. C'est inouï! niezglębioną tajemnicą są kobiety. Ta naprzykład, zdaje się uwielbiać męża, który ją zaniedbuje. Przypadek zbliża ją do niego wśród góracza, światła i zawrotnej kaskady muzycznej. Tymczasem ona, drapując się w szatę chłodu i dziewczęcej skromności, usuwa się, pragnie zniknąć, nie istnieć... Cała drżąca i zmieszana, oczy spuszcza i płoni się, cierpiąc widocznie w sąsiedztwie tego mężczyzny, który, będąc ojcem jej syna, stał się dla niej zupełnie obcym człowiekiem.

Leon poprawił się na swej pace. Miał przed sobą widok bardzo ciekawy, proces psychologiczny, bardziej zajmujący, niż wszystkie romanse Bourget'a. Stanio nie zajmował go wcale; znał

on dokładnie naturę swego przyjaciela, naturę silnie zmysłową. Zajmowała go tylko Marya, ta kobieta, napozór chłodna i nieprzystępna, w głębi serdecznie namiętna, a przecież z obrazą majestatu odsuwająca się od męża, do którego może tęskniła przed chwilą!

Tymczasem wobec natarczywej czułości męża, Marya powoli zaczęła się otrząsać ze zmieszania, w jakie w pierwszej chwili popadła. Zniewaga, jaką wyrządził jej mąż, odsuwając się prawie zupełnie od niej od lat dwóch, zbyt silną zostawiła ranę w duszy młodej kobiety. Nagle zwrócenie uwagi na jej obecność zdawało się jej teraz nożem, który okrutna ręka obracała w jątrzącej się ranie. Nie ona, nie Marya była w tej chwili przedmiotem uwagi tego człowieka, lecz... kobieta! Po dobrym obiedzie, po pochłonięciu Chablis'u, Saint Emilien'u i fine Champagne'u, atmosfera bazaru, bardzo do atmosfery balowej zbliżona, upajała go do reszty! Traf zrządził, że jego ramię dotknęło jej ramienia — i oto miała obok siebie wreszcie męża, którego kochała tak mocno, za którym wylewała lzy rzewne, ciche, gorące! A jednak jakieś uczucie goryczy, odrazy odrąca ją od tego człowieka. Nie może znieść dotknięcia jego dłoni i, cała wpatrzona w tłum czerniący pomiędzy białymi ścianami sklepów, z przerażeniem najwyższem zapuszcza sondę w swą duszę, targa w piersi serce, które powoli uspakając się i ziębnąć zaczyna.

Mąż właśnie pochyla się przed nią i błękitne jego źrenice, wiecznie marzące, przysłonię

długą rzęsą, mienia się w świetle gazu zielonawą barwą szmaragdu.

— Vous êtes en beauté aujourd'hui, mon amie—szepce, uśmiechając się z lekką domieszką ironii.

Lecz ona przyciska rękę do serca.

Zrozumiała. Przestała kochać męża; nie kocha go już wcale.

Odkąd? dlaczego?...

Nie może zdać sobie z tego sprawy, czuje tylko, że obecność Stania sprawia jej ból moralny, daje jej przedsmak wstrętu, goryczy.

Zamyka oczy, jakby na widok nagle otwierającej się przepaści.

Lecz on staje się coraz śmielszy i, na tle tonów polki, rzuca jej całą wiązkę banalnych słów, komplementów zdawkowych, uznając, że i to jest za wiele dla olśnienia swej niewolnicy.

Ona tymczasem otwiera oczy i teraz już bez trwogi, uważnie, jakby w skupieniu, spogląda na twarz męża. Widzi wielką piękność tej twarzy, tę piękność, która ją olśniła przed laty w śniatyckim dworku i prześladowała ją po rozhyrach leśnych; lecz dziś piękność ta nie wstrząsa nią; ostudza ją raczej, oziębia, bryłą lodu na piersi tłoczy.

I nagle Marya dostrzega na lewej piersi męża, na ciemnym tle sukna plamę delikatną, plamę, pozostawioną przez policzek kobiety, wytarty coldcremem i posypany pudrem. Plama ta biała, przezroczysta, jak płatek krepy, rozkłada

się lekko, tajemniczo, a przecież brutalnie odsłania tajemnicę zamienionego przed chwilą uścisku.

Milcząc, Marya wpatruje się w tę plamę, a oczy jej przybierają wyraz chłodnej ironii. Wreszcie, usuwając się w głąb sklepu, odtrącając prawie od siebie ramię męża, chwytając aksamitny toczek, porzucony na półce obok lusterek oryentalnych.

— Odchodzisz? — zapytuje Stanio, przygryzając usta.

Leon stoi już za młodą kobietą, podając jej rotundę, podbitą futrem niebieskich lisów.

Marya nie odpowiada wprost, lecz delikatnym poruszeniem głowy wskazuje mężowi kompromitujący go odcisk policzka kobiety na ciemnym suknie odzienia.

Stanio spostrzega i pośpiesznie sięga do kieszeni po chustkę.

— Co to może być?—belkoce zmieszany.— Nie pojmuję...

Pragnie pośpieszyć za żoną, która cicho, po za plecami zajętych sprzedają kobiet, wysuwa się ze sklepu. Lecz ona nakazującym gestem przykuwa go do miejsca.

Przez chwilę Stanio milczy, zziębiony wzrokiem żony, wreszcie odzywa się do przyjaciela:

— Leonie! proszę cię! odprowadź żonę do powozu... moi — je ne puis pas abandonner la Comtesse.

Tłum rozstępuje się teraz przed Maryą, która w rotundzie swej, jak w płaszczu królewskim, powoli zagłębia się w ulicę, ścielącą się pomię-

dzy namiotami. Szare bramowanie futra okala jej twarz, pobladła teraz mocno i jakby zmęczoną.

Ostre tony polki wirują wciąż nad jej głową, dokoła tłum nieznanymi twarzami żółte tworzy plamy. Dalej majaczy białość ścian, przeciętych równą linią słupów, na których srebrzą się mleczne klosze lamp.

I nagle w tym tłumie, w tej wrzawie, w tym chaosie głosów ludzkich i dźwięków blachy, Marya odczuwa dokoła siebie pustkę, przerażającą pustkę, która ją przestraszem zapełnia. Jest sama, sama wśród masy ludzi zbitych w tej ciasnej przestrzeni, wśród ścian z muślinu, sama w progu życia, sama—na zawsze! Myśl o dziecku wypływa z oddechu, w jakim się czuje pogrążona. Jerzuś! tak—on jeden, jedyny! Do domu! do domu jaknajprędzej!...

Przeciska się teraz szybko przez tłum, zaskakując dokoła siebie polki rotundy, jak gdyby broniąc się przed pełnym zmysłowości wzrokiem męża. Natura kobieca bierze górę; Marya w gardle doznaje silnego ściśnienia, do oczu lzy jej napływają.

Dochodzi już teraz do przedsionka, który, oświetlony jasno, przedłuża się w zakręt wschodów. Tony polki huczą tu z całą gwałtownością. Rzechy można, że hałaśliwa fala wybiegła na wolniejszą przestrzeń i hula tu krzykliwie, niczem nie powstrzymywana.

Marya opiera się chwilę o ścianę. Szmer wchodzących osób przecina jej komunikację.

I wówczas dopiero spostrzega Leona, który stoi przed nią, jakby zakłopotany, bez cienia uśmiechu na swej wiewiórczej twarzy.

— Dokonałaś pani cudu — mówił cichym głosem.

Marya podnosi na niego oczy, nie widzi go dobrze, gdyż łyzy jej zakrywają źrenice.

— Ja?

— Tak! przemieniłaś niewiernego Tomasa w najwierniejszego wyznawcę! Widziałem i... wierzę!

— Co pan widziałeś?

— Łzy, łyzy gorące, widzę je w tej chwili i wierzę, że się jeszcze płaczą po świetle.

— Ach!... przecież... ja nie płaczę!

Leon uśmiechnął się smutno.

— Si fait!—odparł—płaczesz pani i to tak, jak się płacze nad grobem tych, których się kocha!...

Głos jego brzmiał łagodnie, bez cienia ironii.

— Jedź pani do domu! do Jerzusia!... — wyrzekł wreszcie.

Na zaciśnięte usta Maryi wybiegł uśmiech.

— Tak! Tak!—wyszeptala—do Jerzusia!

I myślą już była przy białem łóżeczku, na którym spał syn jej ukochany.

Nagle z po za białych firanek kołyski wyjrzała ku niej twarz mężczyzny, o czarnych poczciwych oczach, twarz, spalona od słońca i chłodu, twarz, ujrzana w uroczysku Wołochowskiem w obramowaniu ożyn i paproci.

Jakby przed marą, z popiołów wstającą, drgnęła cała, nagle trwogą zdjęta.

— Niel nie!...—wyrzekła półgłosem, kierując się ku wschodom.

Leon postępowal obok, zdziwiony tym wykrzyknikiem.

— Co nie?—pytał natarczywie.

Marya, zmieszana, przerażona wizją twarzy Antoniego, schodziła teraz szybko po wschodach wśród fali dźwięków, które tryumfalnie z sal bazarowych aż do sieni płynęły.

.....

Gdy Leon po wsadzeniu Maryi do powozu powrócił do sali i znalazł się za kontuarem sklepu, cały bazar wydał mu się dziwnie opustoszały. Usiadł na pace i oparł głowę o pulkę, na której niedawno jeszcze leżał werweną pachnący toczek Maryi.

Zdawało mu się, że purpurowe sukno zachowało jeszcze coś z tego słodkiego zapachu, jakim włosy młodej kobiety były przesiąknięte.

Przymknął oczy i usiłował odtworzyć całą postać Maryi. Wydała mu się dziwnie doskonałą, szlachetną i uczciwością nieskalanej pełną.

Nagle uczył, że go ktoś trąca w ramię.

Otworzył oczy z niechęcią. Przed nim stał Stanio, usiłujący oczyścić wszelkimi siłami kłapę swego surduta od białego proszku, który przylgnął do niej z dziwną siłą.

— Nie wiesz, co to może być?—pytał zniecierpliwiony.

Leon objął wzrokiem postać przyjaciela i wyraz uśmiechu lekceważenia okrążył mu usta.

— C'est inoui! — mówił Stanio — nie mogę wyczyścić! żebym wiedział choć, co to jest takiego!

Leon powstał, przymrużył oczy, a kładąc swój olbrzymi płaszcz, podbity futrem, wyrzekł:

— Rzecz prosta, crème Simon i veloutina! Zakaż Dolly smarować się cremem. Tylko nie-wiem, czy cię usłucha; mnie... nie słuchała!

XIII.

— Fur, fur, fur!... oj, dziewczuszki, pstro, pstro w głowach!

I siostra Szafarka założyła ręce za pas, a zmrużywszy oczy, patrzyła na katechumenki, stojące przed nią rzędem w swych białej i niepokalanej czystości sukienkach.

W tem siostra ogrodniczka weszła z ogrodu, niosąc świeżo uwite wianki na plecionej pokrywce koszyczka. Wianki to były z czystej zieleni, przetykane malwami pełnymi, i jak śnieg białymi. Małe bukieciki do boku tuż przy nich leżały.

— Dla was dziewczuszki! — wyrzekła, stając przed dziewczynami, w strudze jasnego światła, które z rozwartych szeroko drzwi ogrodowych w kurytarz wpływało.

Franusia i Różia uśmiechnęły się radośnie, grubemi, lśniącemi rękoma sięgnęły po malwy, nad którymi drobna, ascetyczna twarz zakonnicy chyliła się, dziwnie odświeżona rosą, którą jej kwiaty z wysokich swych łądyg strząsały.

— Dziękujemy dobrodzieje!

Włosy im spadały na ramiona, okryte grubym białym muślinem, szczelnie pod szyję zapiętym. Włosy te były prawdziwym przepychem królewskim, rozścielającym się na skromnych ich sukienkach, kosztem klasztoru sprawionych.

Z bocznego okna lejące się jasne lipcowe światło kładło złote iskry w falę rudych, miękkich włosów Franusi, i mieniło się niebieskawemi blaski w kędziorach Rózi. Obie dziewczyny, czysto wymyte, wykąpane, wyszorowane mydłem, miały w sobie wielki urok młodości, urok trywialny, lecz podniesiony wiarą prostoduszną, rozlaną w ich serdecznych, sponiewieranych, piegami okrytych twarzach. Wiara ta jednak miała swoje odcienia.

Franusia poddawała się radosnej dla niej chwili z całą szczerością prostego, niewyrafinowanego serca, splakana, z oczyma lez pełnemi, wpatrzona z bezbrzeżną miłością w Chrystusa, który do niej z bieli ścian korytarzowych ramiona swe wyciągał. Drżące ze wzruszenia ręce dziewczyny obciążały bezustannie falbankę kaftanika, lub szarpały szarfę muślinową, która jej grubą postać obejmowała sztywną obręczą. Wczoraj cały dzień, gdy prasowała sukienkę i welon, lzy rzęsiste kapaly jej z rybich, pocziwych ocząt. W wieczór, przejęta całą radością, która ją dławiała, schroniła się do obory, w której drzemały krowy, szczególnej jej pieczy powierzone.

Depcąc po mierzwie i podściółce, przedarła się Franusia do swej ulubienicy.

Ruda była to krowa, ruda, jak i dziewczyna. Często, gdy stały obie w słońcu, pośród zielonej łąki, która po za klasztorem aż hen ku Wiśle się słała, obie, i zwierzę i katechumenka, miały te same tony złote o purpurowych iskierekach, które pełne słońce w rudych włosach zapala.

Dziś, w cieniu obory, Franusia porwała za szyję ulubione zwierzę i głowę swą, świeżo mięta i rumiankiem wymyta, do rudego łba radośnie tulić zaczęła.

— Już cię, krówieńko moja, bez dziś tylko żydowica doi! od jutra się wykrzcę! wykrzcę! wykrzcę!...

Śmiała się przez lzy, całując wilgotne nozdrza zwierzęcia, które, łeb podniósłszy, przeciągłym rykiem zawtórowało radosnym szlochom dziewczęcia.

Tymczasem Rózia bladła coraz więcej, zagłębiając się w mistycznej ekstazie, skupiając się w sobie, analizując w milczeniu tajemniczą rozkosz, która ją ze zbliżeniem się chrztu przejmowała. Nieraz znajdowano ją na ślizkiej podłodze chóru, klęczącą w cieniu i wpatrzoną w purpurowy płomyk lampy, migocący z po za kraty w czerni obrzymiej kościoła. Mówiła często do siostry, przygotowującej ją do chrztu, którego dzień w aureoli lipcowego słońca się zbliżał:

— Nie jestem godna tej łaski! nie jestem godna!

Siostra Déposée często teraz udzielała jej sama nauk i odbywała z nią konferencye.

W dniu chrztu Różia była blada jak oplutek, a z pod jej długich źrenic, spuszczonej ku ziemi, tlił się ogień nieziemskiej egzaltacji. Ręcej jej, splecione na piersiach, podnosiły się i opadały przyspieszonym tempem. Nieruchoma, blada, z ustami wpólotwartemi, zdawała się Różia być pogrążona w mistycznej ekstazie, która jej biedną duszę w krainę nadziemską uносиła. Ani jedna łza nie spłynęła z jej oczu, gorączkowo świecących. Zdawała się nie żyć, nie istnieć, nie dotykać ziemi. W obramowaniu rozplecionych kruczonych włosów blada jej twarz odcinała się alabastrową czystością. Siostrą szafarka mówiła, śmiejąc się, że „Różia się wyblichowała!”, lecz w gruncie rzeczy szafarka i inne siostry były serdecznie wzruszone pokorną postawą Franusi i ekstazą Rózi.

Od rana też krzątały się, czyniąc przygotowania do tej uroczystej chwili.

Chór cały woniał od kwiatów, a po środku dywanem barwnym przykryte, stały trzy klęczniki, przeznaczone dla katechumenek.

W kościele siostry kołowe razem z ogrodnikami ustawiały szpaler oleandrów i obsadzały świece w olbrzymie świeczniki.

W zakrystyi, siostra Marya Ludwika przygotowywała biały ze złotem ornat i koronkową albę. Nad rozwartemi szufladami pochylona w całej masie stuł, które, jak różnokolorowe węże, mieniące się złotem, leżały spokojne i uśpione na tle aksamitnych, purpurowych kap, przeciętych zło-

tym galonem, szukała stuły odpowiedniej do ornatu, szytej w złote lilie i srebrne dzwonki.

Na długim stole dębowym stały ampulki, świecące się w słońcu kolorami tęczy, które spływały wspaniałym wachlarzem barw, aż w dół szeroko rozwartych szuflad i tam ginęły w śniegu koronek, któremi komże i alby, obrusy, ręczniki były obszyte.

Tu i owdzie z szuflady błyszczwały cenne galony, grube aplikacje, lub watowane róże, silnie złotemi nićmi na tle lam srebrno-białych nakładane.

Ze wszystkich tych szuflad bil silny, a zawrotny zapach piżma, jak z komód i szaf naszych prababek, kryjących troskliwie w pokrywach z zielonej marselinki swe mory, grodenaple i inne, mieniące się, jak pawie pióra, materye.

Po nad tym przepychem barw i złota, schylona siostra Marya-Ludwika, w swym wytartym, zniszczonym habicie, odcinała się ubogą, czarną sylwetką na tle aksamitu, lamy i różowych jedwabnych podszewek. Od trzydziestu lat blisko, z małemi przerwami, zanurzała swe wychudłe ręce w te stopy szeleszczących materyi, haftowanych rękami dumnej Gonzagi, od trzydziestu lat uboga i nędzna w latach czarnego sukna spowita, wciągała w siebie woń piżma i zleżalego jedwabiu, a nigdy w umyśle jej nie zadrgała ani nitka próżności, ani chęć przymierzenia do swej smutnej twarzy śnieżnych mas koronek.

Każda z siostr raz jeden w życiu miała na sobie wspaniałe strój oblubienicy i zrzucała go najchętniej na czarne sukno, rozesłane pod ich stopami. Z tą chwilą kobieta znikala.

I dlatego-to, z dziwnym niepokojem spoglądały w dzień chrztu siostry na Joasię, która pomiędzy Rózią i Franusią szeleściła dumnie długą, jedwabną suknią, mocno obciśniętą.

Suknia ta, kosztem Antoniego sprawiona, na gorące prośby Trejny, była cała z jedwabiu, zrobiona według najświeższej mody. Delikatne wycięcie stanika odsłaniało cokolwiek szyi, tylko tyle, ile potrzeba do ceremoniału religijnego. Z obramowania koronek, opuszczonych na stanik, wysuwał się silny kark dziewczyny i jej kształtna, mała główka, z której masa jej włosów czarnych, matowych, suchych, pokręconych, spadała ciemną lawiną na szerokie ramiona, okryte szczerlnie przylegającą do ciała jedwabną tkaniną.

Nigdy w murach klasztoru nie pojawiła się tak piękna i zarazem trwożą przejmująca kobieta. Gdy, oblana jasnym potokiem światła, stała uśmiechnięta i wyprostowana, siostry nieśmiało podnosiły na nią oczy. Lękliwie wzrok ich ślizgał się po tej głowie, na której, na podstawie masy włosów, wznosiła się przepyszna korona z róż białych, delikatnie rosą pokropionych. A dalej, z korony róż, jak fala biała i doskonale przejrzysta, zsuwała się aż po brzeg trenu cała masa iluzji, którą włosy, pokręcone w tysiączne pierścienie, lekko podnosiły.

Joasia stała tryumfująca, sztywna, z głową wysoko podniesioną. Radość niczem niepowściągniona, radość kobiety, która się czuje piękną i silną, kazała jej podnieść opuszczone zwykle czoło i objawić się nagle w całym blasku urody. Ręce, obciśnięte długimi białymi rękawiczkami, trzymała opuszczone. Oddychała z trudnością z powodu silnego ściśnięcia gorsetem, a na wybielałą w cieniu klasztornej jej twarz wystąpił silny rumieniec. Z pośród purpurowych, spieczonych warg bielił się sznur zębów, drobnych i doskonale pięknych. Ani śladu skupienia pobożnego lub jakiegokolwiek ekstazy nie można było dostrzedz w jej wielkich źrenicach, w których palily się dziwne, zielonawe ogniki.

Obok niej, w swym wianuszkach z małwy i powyciąganym z paska kaftaniku, szłochala Franusia, podciągając zaczerwienionym nosem, a Rózia, z oczyma utkwionemi w Chrystusa, cisnęła wciąż spracowane ręce do swej dziewiczej piersi, blednąc coraz bardziej.

.....
Ksiądz jałmużnik przeciągłym głosem wyśpiewał:

— *Itē Missa est!*

Lecz nikt w natłoczonym kościele się nie poruszał. Owszem, ciągle nowa fala napływała przez przymknięte drzwi, co ze stłumionem skrzypieniem zamykały się szczerlnie za wchodzącymi, których twarze, rozjaśnione, ciekawe, już od progu zdawały się szukać białych sukien i kaskad

rozpuszczonych włosów. Wszyscy tłoczyli się do przejścia, którem miano wyprowadzić za drzwi świątyni katechumenki.

Z ust do ust podawano sobie rozmaite szczegóły, wiadomości, pozbierane naprędce od babek, potrzęsających przy wejściu do kościoła skarbonkami, pełnemi miedziaków.

Tak, tak, nie dalej jak wczoraj podstępiono pod klasztor i, dzwoniąc do furty, urwano dzwonek, który dopiero w nocy siostra kołowa szpagatem przywiązała. Rodziny tych dziewczyn stały opodal, prawie przed trotuarem kościelnym. Do jednej z katechumenek sprowadzono rabina. Tak! rabina! Przyszedł do parlatorium i miał długą rozmowę z księdzem jałmużnikiem. Lecz wszystko na nic się nie przydało. Dziewczęta pragnęły chrztu i oparły się wszystkiemu. Dla jednej, tej najbogatszej, odwołano nawet dzień chrztu. Nie mogła się nauczyć katechizmu. Siostry miały z nią kłopot niemały. Ale dziś już wszystko załatwione. Dziewczyny unieją pacierze. Egzaminował je sam ksiądz jałmużnik. Mogą bezpiecznie stanąć do sakramentu.

I babki zaczynają znów potrzęsać skarbonkami, kurcząc się pod promieniami słońca i uśmiechając się bezzębemi ustami.

Dokoła nich, w zacieśnieniu domów, tłum ludzi, śpieszących do wnętrza świątyni, której szary, ciemny fronton silnie dźwiga się ku górze.

Na lewo — krata żelazna, najeżona, z niewielką furtką, po za którą zielenią się kępy trawy i wiotkich, ku ziemi gnących się gałęzi.

Za niemi, za tym kłębkim zieloności, nagle w jasno szarą barwę bruku wrzuconą, biela się już zabudowania klasztorne, na pozór nikłe, niewielkie, jednopiętrowe, ciemno-czerwoną dachówką kryte.

I w bieli żółtawej ścian czernią się tylko małe podłużne okienka, zakratowane, tajemnicze, jakby na miasto, ścielące się przed niemi, z zadumą patrzyły.

W przedłużeniu prawego skrzydła, w szeregu domów urywa się nagle linia i widać zdaleka złotawą płaszczyznę Saskiego placu, przeciętą czarnemi plamami dorożek. Lecz już, jak olbrzymi monument, strzegący wejścia do pustyni, dźwiga się cielsko hotelu Europejskiego, żółtoceglaste, migocące niezliczoną ilością szyb, równemi liniami, jak wojsko na tarasach się wydłużających. I dalej wygina się znów łuk Przedmieścia, jak wąż olbrzymi, kapryśny i nierówny, w sterczące obramowanie domów wtłoczony. Linia ta gnie się i nagle ginie w szarej masie kamienic, które słońce lipcowe migocącym blaskiem oblewa.

Na lewo od klasztoru wysuwa się pałac Potockich, obwiedziony grubym łańcuchem. Masa ta przecina perspektywę i nie pozwala rozwinąć się przedłużeniu przedmieścia. To też oczy tłumy, stojącego teraz w pełnym, złotem świetle przed ciemnymi wrotami kościoła, mimowoli biegną przed siebie, tam, gdzie Królewska ulica, jak odnoga wielkiej rzeki, nagle w dalsze plany się usuwa. I cała w cień spowita, z frontem domu

Beyera, jak olbrzymie koszary, obstawione ciemnymi plamami sztyldów, przedłuża się tajemniczą smugą, z której z brzękiem wynurzają się białe tułowia koni, ciągnących tramwaje. I cień ten, równą linią od słonecznego obrusa odcięty, ma jednak gdzieś złoże złotawe plamy, blade, jakby przez szkło z góry przepuszczane.

Odsunięte aż w ten cień, w tę linię czerniawą, nagle w blasku się znaczącą, stoją gromadki przechodniów i ciekawych. Lecz już tramwaj nadjeżdża wzdłuż ciemnych szyn, zwiniętych w półkole. Tłumy się rozpierzchają, cofają znów w cień i, do ścian domu przylgnąwszy, oczy w fronton świątyni wlepiają.

Nad niemi wysoko gloryjeta, cała ze szkła, błyszczy jak brylant, szarą płachtą okryty. I dalej cała powódź dachów zlewa się w jednostajną i przeciąglą linię na tle przeczystego szafiru. Gdzieś tylko biały komin, jak olbrzymi gołąb, do dachu przypadłszy, zaznacza się jasną plamą. Czasem szyba dymnika zamigoce srebrną gwiazdą, zawisłą prawie w przestrzeni.

Tymczasem w głębi kościoła huczą organy niskim, basowym, przeciągłym tonem. Huk ten płynie z góry prosto od gufrowanej ściany organu aż ku wielkiemu ołtarzowi, złotemu od świec płonących.

I, jak kwiat mistyczny, olbrzymi, tak widnieje teraz postać księdza jałmużnika, który o biel antypedium się oparłszy, ewangelię ostatnią czyta. Obok niego, na delikatnem tle koronek i jedwabiu, haftowanego pelą w symboliczne róże i lilie,

odcina się ostro czerwona pelerynka chłopca, który, złożąc się całą masą blond włosów, stoi nieruchomy, w fałdy swej białej komeżki spowity.

Drugi, cokolwiek niżej około kwiatów stanąwszy, ciekawie ku górze spogląda, śledząc snop silnych promieni słonecznych, przecinających z bocznego okna powietrze. W promieniach tych drgają miliardy pyłków, a kłęb oleandrów, na które smuga ta spływa, zdaje się cały poruszać pod wpływem silnego powiewu wiatru.

W presbiterium, po prawej stronie ołtarza, znajduje się krata podwójna, z silnych sztab żelaza złożona, po za którą widać wysoką masę chóru, pełnego w tej chwili światła i przestrzeni. I w tej przestrzeni najwyborniej zarysowuje się linia stall, które, jak rzeźbione nagrobki wznoszą się wysoko, zakończone ostrymi łukami.

W stallach tych czernieją postacie sióstr, klęczących z opuszczonemi na oczy welonami. I tylko na piersiach ich srebrzą się krzyże; czasem biała, lecz spracowana ręka różaniec uchwyci i szybko w otworze rękawa się schowa.

Nad krzesłem matki przełożonej srebrzy się, jak gwiazda, serce założycielki, za szkłem, obwiedzione złotą girlandą liści. Tworzy ono rodzaj punktu świetlanego i promiennego nad głową zakonnicy. Zdaleka, przez kratę, światło to wydaje się promienną aureolą dokoła fałd czarnego welonu. W górze trzy wysokie gotyckie okna, w niszę głęboko wsunięte, wyrzucają z siebie w głębie chóru całe masy białawego światła, które rozlewa się na lśniąca posadzkę i uwy-

pukła w przestrzeni klęczące na środku chóru trzy postacie dziewczęce. Katechumenki, oparte na klęcznikach, mają głowy okryte śniegiem białych welonów. Klęczą pokornie, z powiekami opuszczonymi na pulpity, obciążone aksamitem, tłoczonym w złote plamy. I tylko Joanna, od czasu do czasu, niecierpliwie, nie podnosząc głowy, za kratę, het w dal kościoła, wejrzenie rzuca.

Krew jej się kłębi w żyłach, w gardle od gorączki wysycha. Za kratą, w snopie promieni słońca, cała fala głów ludzkich pochyła się, miga, ciemnieje, to znów wypływa fala ciekawa, pragnąca wreszcie zjawienia się katechumenek. I pod stanikiem dziewczyny serce coraz prędzej bić zaczyna. Czuje, że za chwilę wszystkie te głowy zwrócą się w jej stronę, że ona stanie się punktem, do którego dążyć będą te całe masy żrenic...

Ostatnia ewangielia... Neofitki powstały, a oczy Franusi nabiegły łzami. Podczas sumy uspokoiła się nieco i, cała zasluchana w huczące organy, powtarzała, miast nakazanych pacierzy, jedno, jedyne słowo:

— Jezu! Jezu!...

Lecz teraz znów gorąca struga łez napływa do jej żrenic. Nie, to silniejsze nad nią! Mogą mówić, co chcą, ona płakać i szlochać musi z wielkiej radości. Za kilka minut „wykrzcą” ją nareszcie! O, Jezusie najśłodszy!...

Na chwilę przy ołtarzu zapanowała pustka.

Ksiądz jałmużnik znikł w zakrystyi, jak złote wi-dziadło.

I przy ołtarzu jedynie różowe oleandry roz-lewały niepewną woń wpośród białawych obłoków kadzidla. Zakrystyan szybko zamknął balustradę, pozostawiając w prezbiterym Maryę, Leona, An-toniego i rodziców chrzestnych Rózi i Franusi, z pomiędzy mieszczaństwa warszawskiego upro-szonych.

Tłum cały skupił się teraz w głównem prze-jiu. Wszystkie głowy zwracały się uparcie ku wielkiemu ołtarzowi, który gorzał spokojnie sze-regiem świec jarzących, w obramowaniu ciemnych krzaków roślin.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.



77132/3

Odstawienie od piersi

jest najważniejszym momentem w życiu niemowlęcia.

Lekarze stwierdzili, że

**MACZKA MLECZNA
NESTLÉ'a**

umożliwia odstawienie od piersi w każdej chwili, bez względu na porę roku i ułatwia znakomicie ząbkowanie.

SERKI ROZENTOWO

z czystej świeżej gotowanej smietanki są najzdrowsze, najsmaczniejsze, pożywne i lekkostrawne.
LEKARZE ZALECAJĄ · ZADAC WSZĘDZIE.

Smietanka sterylizowana i homogenizowana
Mleko sterylizowane i homogenizowane

ROZENTOWO

bez zarazków, nie psuje się, najlepsze, wzmacniająco pokarmy dla osłabionych, chorych, dzieci i niemowląt.

Pierwsze powagi lekarskie zalecają

Zadac wszędzie.

Wystrzegać się podrabian.

Na każdej butelce musi być etykieta z napisem
„Rozentowo”

Główny skład na Królestwo Polskie, A. Schmolke,
Warszawa, Marszałkowska 149, tel. 42-71.

Towarzystwo Akcyjne
„Fr. Karpiński“

w Warszawie

ul. Elektoralna 35, telefon 600

poleca

Karpińskiego

Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy u osób z cerą tłustą, potysku-
jącą, skłoną do wągrów i pryszczu, oraz przy
łuszczeniu się skóry. Cena kop. 40 za szt.

W wypadkach uporczywszych używać należy

Karpińskiego

Mydła Alkalicznego Nr 2

Cena kop. 40 za szt.

Karpińskiego

Mydła Ogórkowe

hygieniczne, usuwające opaleniznę i piegi.
Cena kop. 50 za szt.

Karpińskiego

Mydła Neutralne

znakomity środek higieniczny do pielęgnowania
twarzy, rąk oraz ciała u dzieci. Cena k. 40 za szt.

Żądać wszędzie.

Istniejący od roku 1850.

Zakład Ogrodniczy
i Skład Nasion

C. ULRICH

w Warszawie Ceglana 11.

Poleca w wielkim wyborze:

NASIONA WARZYW
NASIONA KWIATÓW
NASIONA ROLNE
NASIONA TRAW
CEBULKI KWIATOWE.

Drzewa owotowe w koronach
Drzewa i krzewy ozdobne
Drzewa alejowe i na solitery
Różeienne i krzaczaste.
SZPARAGI, TRUSKAWKI i POZIOMKI.

Narzędzia ogrodnicze i nawozy sztuczne.

PALMY, PAPROCIE, AZALJE, BZY
i DRZEWA LAUOWE.

ZAKŁAD FREBLOWSKI
Haliny Tarnowskiej

WARSZAWA, Zielna 11.
Przyjmuje freoblistki i ochro-
niarki. Kierunek ściśle pe-
dagogiczny. 12—7

FORTEPIANY I PIANINA
po cenach najniższych poleca
A. Owczarski

Mazowiecka Nr. 11.
tel. 110-58. 52—7
Gruntowne reparacje.

Pracownia i Magazyn wyrobów
SREBRNYCH,
ZŁOTYCH I
z BRYLANTAMI
KAZIMIERZ 52—7
BRETSZNAJDER
Warszawa, Marszałkowska 92.

St. Lipczyński
GRAWER
Dosta wca towarzystw Sportowych
WARSZAWA
Marszałkowska Nr. 149.
tel. 134-84 13—7

Pierwszorządne Kaucjonowane
BIURO NAUCZYCIELSKIE
Beokadji Max
Warszawa, Marszałkowska 148.
Telefon № 124-38.
Poleca: nauczycielki, nauczy-
cieli, freblówki, bony polki
Francuzki, angielski, niemki —
sprawdza z własnych biur za-
granicznych. 12—5

Magazyn Bielizny
R. MALICKI
Chmielna Nr. 20.
Wybór wielki 26—7
Ceny przystępne.

CHLEB SZWEDZKI ORYGINALNY
dietetyczny dla djabetyków i osób
cierpiących dolegliwości żołądka
poleca
Handel win i Delikatesów
L. Koziarski
dawniej 10—5
„Rektyfikacja Warsz.”
ul. Ś-to Krzyska róg Jasnej № 11.

WAGR. W ZŁOT. MEDALEM W PARYŻU.
ZNAJĄC
ZE SWEJ
SKUTECZNOŚCI
NA WYNISZCZENIE
ARAGO
ST. GÓRSKIEGO
ODCISKÓW 35 i 60 K
WYSTRZEGAĆ SIĘ
NIE
LESZNO 12
NASŁODOWNICTW

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich.
SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE

Herbata z gór Harcu

Dr. Lauer's Harzer Gebirstee). Zalecana przez najslawniejsze po-
wagi lekarskie zatwierdzona przez Departament Medyczny przy
Ministerium Spraw Wewnętrznych w Petersburgu, jest jednym
z najniezbędniejszych środków do utrzymania zdrowia. Napój ten
przyjmowany w ilości 2—3-ch filiżanek tygodniowo, leczy wyrzu-
ty, liszaje, uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm,
cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie
Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, grypy, choleryny
Cena pudełka Rub. 1, pół pudełka 50 kop.
UWAGA. Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą ety-
kieta: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JÓZEF GROSSMAN

Warszawa, Złota 16. Kantor i skład w podwórzcu. Tel. 184-44.
Zamiejscowym wysyłam za zaliczeniem od 1 rubla z dołączeniem kosztów przesyłki
podług taksy pocztowej. Wystrzegać się fałszykatów.

NAJWIĘKZY POLITYCZNY DZIENNIK POLSKI GŁOS WARSZAWSKI

„GŁOS WARSZAWSKI“ stawia sobie za główny cel dostarczanie
dokładnych, bezpośrednio ze źródła czerpanych informacji o spr-
wach ogół polski obchodzących i oświetlanie ich ze stanowiska
interesów narodowych polskich.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: SZPIRALNA 14.
TELE.: REDAKCYI 88, ADMINISTRACYI 25-51, DRUKARNI 172-28.
SKRZYNKA POCZTOWA 257.
RACHUNEK PRZEKAZOWY Nr. 14 w BANKU TOW. WSPÓLDZIELCZ.
CENA PRZEDPŁATY: CENA OGŁOSZEŃ:

| | |
|----------------------------------|---|
| W Warszawie: | 1-za str. 1 wiersz petitu . . . kop. 60 |
| rocznie rb. 9.00 | Nadesłane rb. 1.10 |
| półrocznie „ 4.50 | Reklamy „ —.30 |
| kwartalnie „ 2.25 | Nekrologi „ —.20 |
| miesięcznie „ —.75 | Zwyczajne „ —.15 |
| za odosłanie do domu 10 k. mies. | Drobne ogł. i wyraz „ —.03 |
| Z przesyłką pocztową: | |
| rocznie rb. 12.— | Za grubszy druk—podwójnie. |
| półrocznie „ 6.— | Za tłumaczenie dolicza się po |
| kwartalnie „ 3.— | 2 kop. od wiersza. |
| Za granicą: | Za dołączenie prospektów do „Gło- |
| kwartalnie rb. 4.50 | su“ płaci się rb. 10 od tysiąca |
| Zmiana adresu 20 kop. | i opłata pocztowa. |

Cena oddzielnego egzemplarza 3 kop. Dostać można we wszystkich
agencjach pism, kioskach i na kolejach. Prenumerować można we
wszystkich kantorach pocztowych. Żądać numerów okazowych.
Najpoczytniejszy organ na prowincyj.

Żądajcie
Numerów

DARMO

Żądajcie
Numerów



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

Prenumerata wynosi tylko:

Rocznie Rb. 2.50

Z przesyłką Rb. 3.50

65

kop. kwartalnie

z przesyłką 90 k.

Rocznie **12** tomów **POWIEŚCI**
(za zwrotem po kop. 15 za tom na oprawę).



Moje Pisemko

Najtańszy tygodnik obrazkowy dla dzieci do lat 10.

50

Kwartalnie

kop. z przesyłką
75 kop.

Prenumeratorzy „Naszego Świata“ i „Mojego Pisemka“
otrzymują jako

PREMIUM BEZPŁATNE
ALBUM NAPOLEŃSKIE
złożone z sześciu kartonów w teczce.

Dawniejsze Roczniki obydwóch pism
Prenumeratorzy mogą nabywać w Redakcji
za pół ceny

Redaktorka Marja Bujno-Arctowa.
Księgarnia M. ARCTA, Nowy-Świat № 53.